

## Z DZIEJÓW INSTYTUTU ZACHODNIEGO

Planując numer „Przeglądu Zachodniego” związany z 70-leciem Instytutu Zachodniego, podobnie jak z okazji wcześniejszych jubileuszy, redakcja skierowała do osób związanych z Instytutem, jego dawnych pracowników i przyjaciół, prośbę o podzielenie się swoimi refleksjami i wspomnieniami. Bez wątpienia lata spędzone w kolejnych siedzibach placówki, w gronie osób – jak się przekonujemy – zapadających głęboko w pamięć oraz poczucie wspólnoty dokonań, godne są odnotowania. Niech więc apel o przekazywanie wspomnień pozostanie aktualny na kolejne lata. Mogą one przybrać formę opracowania naukowego (jak pierwszy z zamieszczonych tu tekstów) lub bardzo osobistych refleksji czy wspomnień. Dziękujemy Autorkom nadesłanych materiałów i pozostawiamy łamy przyszłych numerów kwartalnika do dyspozycji tych, którzy dopiero zdecydują się utrwalić swoje wspomnienia.

### DOM PRACY NAUKOWEJ OSIECZNA

W pamięci pracowników oraz osób związanych z Instytutem Zachodnim (IZ) od początku jego istnienia zachowały się wspomnienia o zamku w Osiecznej, który prawie przez dziewięć lat należał do tej placówki. Służył jako miejsce do pracy naukowej, organizowania krajowych i międzynarodowych konferencji naukowych, sympozjów, spotkań i wypoczynku dla pracowników, członków Kuratorium oraz Towarzystwa Instytut Zachodni. Obecnie już tylko niewiele osób zatrudnionych w Instytucie lub z nim współpracujących wie – dzięki przekazom ustnym byłych pracowników – że miał on swoje „włości” i że od lata 1945 r. do końca 1953 r. toczyło się w pałacu w Osiecznej życie naukowe i towarzyskie, mające istotny wpływ na całą historię Instytutu tamtych, trudnych przecieży lat.

Miasto Osieczna położone jest w południowo-zachodniej Polsce, w odległości 9 kilometrów od Leszna. W części wschodniej miasta, nad malowniczym brzegiem Jeziora Łoniewskiego jest usytuowany zamek, o którym pierwsze wzmianki pochodzą z drugiej połowy XV w. Zamek był własnością najpierw rodziny Borków, a potem kolejno: Górków, Czarnkowskich, Przyjemskich, Opalińskich, Gajewskich i Skórzewskich. Kilkukrotnie przebudowywany, od 1793 r. należał do rodzin niemieckich, a od połowy XIX w. do 1945 r. majątek Osieczna o powierzchni 12 tys. ha wraz z zamkiem należał do rodziny von Heydebrand und der Lasa. Jego ostatnim właścicielem był Heinz von Heydebrand<sup>1</sup>. Niemieccy właściciele zamku zachowali pamięć o jego poprzednich polskich panach, wmurowując tablice informujące o dokonanych przez nich przebudowach. Ponadto w ramach ostatniej, gruntownej przebudowy na początku XX w. wmontowano w wejście do zamku ocalały renesansowy portal. Zachowano też bryłę starszych części zamku lub oznaczono jej kształt w ramach nowej budowli<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Archiwum II Wojny Światowej Instytutu Zachodniego, sygn.I.Z.Dok.I-833. Dokumenty osobiste i korespondencja właściciela Osiecznej Niemca Heinza von Heydebranda, znalezione w zamku w Osiecznej, po objęciu tego obiektu przez Instytut Zachodni. Obecnie w zamku znajduje się szpital rehabilitacyjno-leczniczy.

<sup>2</sup> M. Michalski, *Osieczna (Storchnest). Dawne widoki*, Osieczna – Poznań 2005, s. 38. Zob. też B. Cynalewski, *Zamki i pałace Wielkopolski*, Poznań 1986.



Zamek w Osiecznej (lata 20. XX w.).  
Fotografia ze zbiorów Instytutu  
Zachodniego

Do znanych postaci tej rodziny należał Tassilo von Heydebrand und der Lasa, wybitny XIX-wieczny szachista niemiecki oraz autor cenionych publikacji poświęconych pracom teoretycznym i historii szachów. Urodzony 17 października 1818 r. w Berlinie, w latach 1845-1864 był dyplomatą w służbie Prus, a po przejściu na emeryturę w 1880 r. zamieszkał w Osiecznej. Tutaj poświęcił się wyłącznie studiom szachowym i opracowaniu pracownice gromadzonej kolekcji manuskryptów, starodruków i książek poświęconych szachom. Cała ta szczególna i wartościowa kolekcja znajdowała się w odpowiednio urządzonej pomieszczeniu zamkowym, nazwanym pokojem szachowym. Ocalała część tej kolekcji przechowywana jest obecnie w Bibliotece Kórnickiej Polskiej Akademii Nauk<sup>3</sup>.

W latach 1908-1911 zamek został gruntownie przebudowany przez berlińską firmę *Reimer u. Körte* i wyposażony w wodociąg, kanalizację, centralne ogrzewanie, instalację elektryczną, a także pralnię, prasownię i magiel. Na jego trzech kondygnacjach wraz z parterem było 39 pokoi, sala balowa, taras, 6 korytarzy, po 2 kuchnie, spiżarnie i komory, 7 łazienek i ubikacji. W pomieszczeniach pałacowych znajdowały się meble, dywany, lampy i inne przedmioty, z których wiele było szczególnie wartościowych. Należały do nich m.in. meble, kilka serwisów i wiele innych wyrobów z porcelany miśnieńskiej oraz liczne wyroby ze srebra<sup>4</sup>.

W przejranych dokumentach trudno szukać odpowiedzi na pytania, w jaki sposób i dlaczego właśnie w zamku w Osiecznej, obrabowanym z mebli, obrazów i innych przedmiotów, wiosną 1945 r. znalazło się grono osób, które prowadziły tam prace związane z organizacją Instytutu Zachodniego. Jest tylko krótka notatka informująca o tym, że ze względu na duże zniszczenie Poznania w czasie walk o miasto w lutym 1945 r. rozważano usytuowanie w Osiecznej biblioteki niemcoznawczej. W Starostwie w Lesznie był zarejestrowany wiosną 1945 r. Oddział IZ, skreślony z ewidencji z dniem 1 stycznia 1946 r. Natomiast Instytut dopiero od czerwca 1945 r. miał swoją siedzibę w Poznaniu przy ul. Chełmońskiego 1. Wcześniej mieścił się „kątem” w dwóch pokojach byłej Izby Przemysłowo-Handlowej przy ul. Mickiewicza 31<sup>5</sup>.

Dnia 12 maja 1945 r. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych upравиło Instytut Zachodni do rocznego użytkowania zamku w Osiecznej i tzw. resztówki, w skład której wchodziły park oraz przynależne do zamku ogrodnictwo wraz z domem mieszkalnym. Po odpowiednim zagospodarowaniu miało ono dostarczać warzyw i owoców na potrzeby gości i obsługi pałacu. Ewentualne nadwyżki płodów, na które było duże zapotrzebowanie, miały być przeznaczane do sprzedaży, a uzyskane dochody spożytkowane na prowadzenie gospodarstwa oraz ewentualne dalsze inwestycje. Wszystkie te nieruchomości przejęte zostały wcześniej przez Ministerstwo na cele reformy rolnej.

Przyznany Instytutowi zamek w formie dzierżawy na jeden rok miał służyć jako miejsca do pracy naukowej, organizowania kursów dla szkolenia pracowników administracji i nauczycieli zatrudnianych na Ziemiach Odzyskanych, a także celom kulturalno-społecznym.

---

<sup>3</sup> [http://pl.wikipedia.org/wiki/Tassilo\\_von\\_der\\_Lasa](http://pl.wikipedia.org/wiki/Tassilo_von_der_Lasa), 04-06-2014; Relacja Marii Całkowej z Poznania. Tassilo Heydebrand und der Lasa zmarł w Osiecznej 27 lipca 1899 r. Jego odrestaurowany grób i groby innych członków rodziny znajdują się w powstałym w Osiecznej w 2007 r. lapidarium, urządzonej na miejscu byłego cmentarza ewangelickiego.

<sup>4</sup> *Walne zebranie Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 5-6/1955, s. 328.

<sup>5</sup> M. Pollak, *Instytut Zachodni. Powstanie i rozwój organizacyjny w ciągu dwudziestolecia*, „Przegląd Zachodni” nr 3-4/1955, s. 472; Archiwum Instytutu Zachodniego (AIZ), sygn. 85/1. Osieczna; H. Kiryłowa-Sosnowska, *Gościńce i rozstajne drogi*, Instytut Zachodni, Poznań 2002, s. 191.

Zarząd administracyjny zamku z ramienia IZ objęła p. Izabella Drobnikowa, z zadaniem przygotowania i zorganizowania w nim Domu Pracy Twórczej<sup>6</sup>.

Jednak z formalnym przekazaniem Instytutowi pałacu w Osiecznej oraz innych nieruchomości były dodatkowe problemy. Do zamku, przylegającego do niego parku oraz części gruntów przeznaczonych na parcelację, rościł sobie pretensje powstały w Osiecznej w 1945 r. Gminny Związek Samopomocy Chłopskiej. Jego pracownicy wraz z kierownikiem Związku Feliksem Stępniewskim jeszcze przed objęciem pałacu przez Instytut zarekwirowali część należących do wyposażenia gmachu cennych mebli, porcelanę (Miśnia), pianino marki Bechstein, dywany, skrzynie z bielizną stołową oraz inne przedmioty, umieszczając je w piwnicy swojej siedziby<sup>7</sup>. Podobnie inne dobra pochodzące z zamku, jak srebra (głównie sztuce i patery) znalazły się „na przechowaniu” w pomieszczeniach posterunku Milicji Obywatelskiej w Osiecznej. Kilkadziesiąt zaś sztuk mebli i innych przedmiotów służących do wyposażenia mieszkań wypożyczono jeszcze przed objęciem zamku przez Instytut – jak zakładano na krótki okres za pokwitowaniami – osobom prywatnym<sup>8</sup>.

Po wielu interwencjach Dyrekcji Instytutu w różnych organach administracji państwowej pismem z dnia 30 sierpnia 1945 r. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych poleciło:

„1. pałac wraz z parkiem i wodami w majątku poniemieckim Osieczno pod Leszmem przeznaczyć na 1 rok i wyłączne użytkowanie Instytutu Zachodniego;

2. przydzielić prócz tego Instytutowi Zachodniemu gospodarstwo rolne o obszarze 16,5 ha po Niemcu Jämerze, położone we wsi Osieczna;

3. wydać zarządzenie do Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Lesznie, aby spowodował oddanie zabranych z pałacu ruchomości;

4. w związku z zarządzonym przydziałem okazać w granicach możliwości pomoc w zaopatrzeniu Instytutu Zachodniego w najniezbędniejszy inwentarz żywy i martwy”<sup>9</sup>.

Formalnie i ostatecznie Instytut Zachodni przejął w dzierżawę na rok zamek w Osiecznej wraz z otoczeniem 29 września 1945 r. za pośrednictwem Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Lesznie. Dnia 30 lipca 1947 r. podpisana została umowa dzierżawy pomiędzy Jerzym Celichowskim, zastępcą kierownika Działu Rolnictwa i Reform Rolnych Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, jako przedstawicielem Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, a dr. Julianem Hubertem, działającym na rzecz Instytutu Zachodniego w Poznaniu, o dzierżawie pałacu w Osiecznej oraz tzw. resztówki na czas wsteczny od 2 października 1946 r. do 30 czerwca 1956 r. W umowie tej znalazł się też ważny zapis zwalniający od płacenie czynszu za „resztówkę”, w zamian za to Instytut miał obowiązek ponoszenia kosztów związanych z wszelkimi remontami zamku<sup>10</sup>.

Po tym akcie prawnym Dyrekcja Instytutu podjęła raz jeszcze starania o zwrot części mienia należącego do wyposażenia zamku, a pozostającego w nieprawym posiadaniu Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, Milicji Obywatelskiej w Osiecznej oraz osób prywatnych. Z zachowanej w tej sprawie korespondencji wynika, że większość z wywiezionych, a należących do wyposażenia pałacu przedmiotów została odzyskana. Kilkanaście sztuk odzyskanych mebli oraz innych sprzętów przeznaczono na wyposażenie pomieszczeń Instytutu w Poznaniu oraz jego filii w Warszawie. Podejmowane natomiast

<sup>6</sup> AIZ, sygn. 85/1 i 85/2. Osieczna.

<sup>7</sup> AIZ, sygn. 85/1-3. Osieczna.

<sup>8</sup> AIZ, sygn. 85/2. Osieczna.

<sup>9</sup> AIZ, sygn. 85/1. Osieczna.

<sup>10</sup> Jw.

kolejne starania przede wszystkim o zwrot „wypożyczonych” mebli osobom prywatnym nie odniosły skutku<sup>11</sup>.

Już wkrótce po objęciu zamku w Osiecznej, nazywanego przez pracowników Instytutu także pałacem, Dyrekcja Instytutu uznała, że bez odpowiedniego zaplecza w postaci przynoszącego dochód gospodarstwa rolnego wraz z inwentarzem żywym nie jest w stanie utrzymać pałacu w odpowiednim stanie, ani też prowadzić w nim przewidzianej działalności. Ponadto przyznana „resztówka” obłożona była obowiązkowymi dostawami świadczeń rzeczowych w postaci płodów rolnych, z których trudno się było wywiązać. W tej sytuacji dnia 2 czerwca 1945 r. dyrektor IZ zwrócił się z podaniem do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych o przekazanie dla Instytutu poniemieckiego gospodarstwa rolnego. Wniosek ten zyskał przychylną, pisemną opinię Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Poznaniu<sup>12</sup>. W odpowiedzi Ministerstwo 20 października 1945 r. wyraziło zgodę na przejęcie w celu „zaprowiantowania pracowników naukowych” Instytutu poniemieckiego gospodarstwa rolnego o powierzchni 16,5 ha w Osiecznej, wskazanego już wcześniej w cytowanym piśmie tegoż Ministerstwa z 30 sierpnia 1945 r. W skład gospodarstwa wchodziły: dom mieszkalny z pełnym wyposażeniem, stajnia i inne zabudowania dla żywego inwentarza, maszyny i narzędzia rolnicze. Jednak jego przejęcie nie obyło się bez kłopotów, ponieważ już wcześniej, bez podstawy prawnej, zajął je jako mienie opuszczone Franciszek Gola, który nie zamierzał przekazać go w użytkowanie Instytutu. W dniu 19 września 1945 r. wysłał do Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Lesznie list, w którym napisał m.in.

„Powróciwszy z niewoli do wolnej ojczyzny pracowałem do dziś z zapałem i chęcią, a przede wszystkim cieszyłem się bardzo, że jako długoletni robotnik otrzymałem wreszcie kawałek swej własnej ziemi i że wreszcie przestanę być niewolnikiem kapitalistów i obszarników, jednakże bardzo się omyliłem jak się dzisiaj okazało gdyż właśnie mówią przedstawiciele obszarnictwa w osobach rzekomych przedstawicieli Instytutu Zachodniego, opierając się na osobie ob. Profesora Wojciechowskiego, stojącego blisko Pana Ministra Mikołajczyka, potrafili wprowadzić w błąd i uświadomić jakoby gospodarstwo było wolne i przez kłamstwo to przekonać do przekazania mego gospodarstwa Instytutowi Zachodniemu w Osiecznej. Stwierdzam więc jako robotnik, że Ziemianstwo i obszarnicy zostali wprawdzie usunięci z ich posiadłości, ale na ich miejsce nowi obszarnicy w osobach panów doktorów, profesorów i innych przedstawicieli tzw. świata naukowego sposobami nikczemnymi i podłymi starają się chłopu ziemię wydrzeć i zrobić ich na powrót pachółkami i parobkami”.

W miesiąc później 25 października 1945 r. Franciszek Gola przesłał do Dyrekcji IZ pisane ręcznie oświadczenie, w którym stwierdził m.in.

„Oświadczam że treść tego pisma została ułożona przez Ob. Stępniewskiego. Kopia tego pisma i list podpisany przeze mnie zabrał zaraz (podkreślenie) Ob. Talarczyk. Oświadczam dalej, że z treścią odwołania nie zgadzam się i zarzuty przeciw Instytutowi Zachodniemu i wymienionym osobom cofam i przepraszam”<sup>13</sup>.

<sup>11</sup> AIZ, sygn.85/1-3. Osieczna.

<sup>12</sup> Polska Akademia Nauk, Archiwum w Warszawie, Oddział w Poznaniu, Materiały Zygmunta Wojciechowskiego, sygn. P III – 8. (Cyt. dalej: PAN Archiwum – Oddział w Poznaniu.).

<sup>13</sup> AIZ, sygn.85/2. Osieczna.

Ostatecznie gospodarstwo to zostało przekazane Instytutowi 20 października 1945 r., a w jego przejęciu uczestniczyła wicedyrektor Instytutu dr Wanda Kielczewska. Prowadził je przez kolejne trzy lata Stanisław Mikołajczak wraz z żoną i bratem Franciszkiem<sup>14</sup>.

W niecały rok później pismem z dnia 18 maja 1946 r. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych przyznało Instytutowi w użytkowanie dzierżawne na 1 rok majątek Jeziorki w powiecie leszczyńskim o powierzchni 283,7 ha wraz z domem mieszkalnym, zabudowaniami gospodarskimi oraz inwentarzem żywym. Majątek jako poniemiecki był wcześniej przejęty na cele reformy rolnej. Położony był w odległości 1,5 km od Osiecznej oraz 10 km od Leszna. Po zagospodarowaniu, ewentualne dochody z niego miały być przeznaczane na wydawnictwa naukowe Instytutu oraz na pokrycie wszelkich wydatków administracyjnych i utrzymanie pałacu w Osiecznej jako ośrodka pracy twórczej i konferencyjno-wypoczynkowego<sup>15</sup>. Ponadto część pozyskanych płodów rolnych miała być przekazywana do prowadzonych stołówek w zamku oraz w Instytucie w Poznaniu. Zarząd majątku w Jeziorkach należał od lipca 1946 r. do sekretarza generalnego IZ prof. dr. Zdzisława Kaczmarka. Funkcję zaś administratora i zarządcy sprawował początkowo inż. Mieczysław Kryśka, a od 1 listopada 1947 r. do 31 marca 1949 r. Marian Woźny. Instytut był też dzierżawcą samodzielnego obwodu łowieckiego majątku Jeziorki, jednak bez prawa urządzania polowań na tym obszarze<sup>16</sup>.

Początki gospodarowania majątkiem Jeziorki były trudne i zostały tak opisane w krótkiej notatce sporządzonej pod koniec 1948 r.:

„Majątek ten został przydzielony Instytutowi Zachodniemu przez Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych na okres 10 lat. Stan majątku, w którym Instytut go objął, a zwłaszcza brak ludzi do pracy, koni roboczych i odpowiednich maszyn własnych przyczynił się do tego, że pierwszy okres gospodarki był pod względem finansowym i gospodarczym bardzo ciężki. Stan ten ulega stałej poprawie i należy przypuszczać, że w roku następnym Jeziorki wykażą dochodowość”<sup>17</sup>.

W kolejnej umowie podpisanej 30 lipca 1947 r. przedłużono dzierżawę majątku Jeziorki na rzecz Instytutu na czas wstecz od 20 maja 1946 r. do 30 czerwca 1956 r. Jednak w paragrafie 16 tej umowy zamieszczony został następujący zapis:

„W razie konieczności rozparcelowania objętego niniejszą umową majątku Jeziorki w terminie wcześniejszym, niż ustalono w §1 niniejszej umowy, 'urząd wydzierżawiający' ma prawo jednostronnego rozwiązania umowy za 3-miesięcznym wypowiedzeniem i to bez jakiegokolwiek odszkodowania na rzecz 'Dzierżawcy'”<sup>18</sup>.

Zaledwie trzy lata majątek Jeziorki był dzierżawiony przez Instytut. W pierwszych dwóch latach głównie inwestowano w jego prawidłowe zagospodarowanie. Kiedy jednak w trzecim roku zaczął przynosić konkretne dochody okazało się, że ma zostać przejęty przez Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR) w ramach prowadzonej od 1948 r. akcji przekazywania

<sup>14</sup> Jw.

<sup>15</sup> AIZ, sygn.85/8. Jeziorki. W piśmie Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych skierowanym do Urzędu Wojewódzkiego z dnia 20 maja 1947 r. znalazło się pouczenie że „w umowie na Jeziorki należy zrobić zastrzeżenie, że użytkownik odda majątek w całości lub części bez odszkodowania w razie zaistnienia konieczności przekazania majątku na parcelację”.

<sup>16</sup> AIZ, sygn. 85/2. Osieczna i Jeziorki.

<sup>17</sup> *Z życia Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 12, 1948, s. 676.

<sup>18</sup> AIZ, sygn.85/7 i 8, Jeziorki.

majątków tej instytucji. Dyrekcja Instytutu podejmowała wiele starań, aby do przekazania Jezierek nie dopuścić. Wystąpiono m.in. z ofertą poszerzenia funkcji pałacu w Osiecznej jako domu pracy twórczej oraz wypoczynkowego dla pracowników naukowych nie tylko środowiska poznańskiego, ale wrocławskiego i krakowskiego, a majątek w Jeziorkach miał stanowić zaplecze dla tej działalności. Równoległe zaproponowano Departamentowi Przebudowy Ustroju Rolnego Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych utworzenie w Jeziorkach stacji doświadczalnej na potrzeby nowo powstałej w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, Komisji Nauk Rolniczych i Leśnych. Ostatecznie jednak 2 sierpnia 1949 r. Ministerstwo poinformowało Dyrekcję Instytutu o decyzji przejęcia przez PGR majątku w Jeziorkach oraz że „nie ma potrzeby organizowania stacji doświadczalnej, a wskazane w niej prace mogą być wykonywane w każdym zakładzie doświadczalnym rolniczym, których uwzględniając potrzeby państwa jest zbyt wiele”<sup>19</sup>. Formalnie gospodarstwo Jeziorki przekazane zostało PGR 27 sierpnia 1949 r. i od tego czasu cały ciężar utrzymania pałacu w Osiecznej ponosił Instytut Zachodni<sup>20</sup>.

Od samego początku przeciwni użytkowaniu zamku przez Instytut byli Zarząd Miejski w Osiecznej wraz z burmistrzem (Gosiewskim) oraz kolejni prezesi Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Usilnie starali się o to, aby utrudniać i komplikować Instytutowi prowadzenie w pałacu jakiegokolwiek działalności. Wspólnie uważali, że w zabudowaniach pałacowych powinna się mieścić szkoła rolnicza, ewentualnie dom dziecka. Aby choć w części wyjść naprzeciw żądaniom władz miasta, Dyrekcja Instytutu w miesiącach zimowych, począwszy do 1946 r., wydzierżawiała najczęściej trzy sale pałacu na potrzeby szkoły rolniczej w Osiecznej. Jednak obawy Dyrekcji Instytutu, że będą kłopoty z odzyskaniem tych pomieszczeń w sezonach letnich sprawdzały się, co nie pozostawało bez wpływu na relacje z władzami miasta<sup>21</sup>.

W celu polepszenia tych stosunków pracownicy Instytutu oraz osobiście prof. Zygmunt Wojciechowski organizowali w zamku specjalne zebrania, na które zapraszano władze miasta oraz starostę powiatu leszczyńskiego. Przedstawiano na nich m.in. prace i zamierzenia Instytutu w zakresie zagadnień niemcoznawczych oraz bieżącą działalność prowadzoną w zamku. Dyrektor przypominał, że Instytut ma swą centralną siedzibę w Poznaniu, ale również ważną dla niego placówką jest Osieczna, którą otrzymał tytułem 10-letniej

---

<sup>19</sup> AIZ, sygn.85/8, Jeziorki. Warto odnotować że w ocenie przejmującego inspektora PGR „majątek był prowadzony wzorowo i w uprawach (choć mogłoby być wyższe-ale brak nawozów i słabe gleby), łąki – w bardzo dobrej kulturze, stan budynków bardzo dobry-obora i chlewnia utrzymane we wzorowym stanie. Administracja majątku sprężysta i fachowa”. (Sprawozdanie z całokształtu gospodarki w PGR Jeziorki, użytkowanego do dnia 19 sierpnia 1949 r. przez IZ, z datą 20 sierpnia 1949 r.).

<sup>20</sup> *Z kroniki Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 5-6/1955, s. 328. Suma należna Instytutowi z tytułu rozliczeń za majątek Jeziorki wynosiła w dniu oddania majątku ponad 2 miliony złotych w starej walucie, a 890 000 zł w dniu rozliczenia ustalonym przez Ministerstwo Rolnictwa. Jeszcze w listopadzie 1951 r. w sprawie tych rozliczeń finansowych Dyrekcja Instytutu prowadziła bez zakładanego skutku korespondencję z Ministerstwem Finansów.

<sup>21</sup> W czerwcu 1948 r. do zamku w Osiecznej przyjechało dwóch mężczyzn, którzy oświadczyli, że są pracownikami Wydziału Opieki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu i poszukują obiektu na dom dziecka. Sugerowali, że zamek nie jest odpowiednio wykorzystany i że jest budynkiem nadającym się na dom dziecka. Pod dokumentem informującym o tej „wizycie” znajduje się pisemna informacja profesora Wojciechowskiego, że ta „wizytacja nie wyszła z inicjatywy Urzędu Wojewódzkiego” (AIZ, sygn.85/6, Osieczna.).

dzierżawy. Apelował także do miejscowego społeczeństwa o docenienie prowadzonych przez Instytut prac i „ułożenie lokalnych stosunków ku zadowoleniu obydwu stron”<sup>22</sup>.

Już w końcu listopada 1945 r. ze wspólnej inicjatywy Instytutu i Biura Ziem Odzyskanych Ministerstwa Oświaty zorganizowano w zamku pierwszy z kilku zaplanowanych i przeprowadzanych w latach 1945-1948 tzw. kursów zachodnich dla nauczycieli oraz pracowników oświatowych zatrudnionych na Ziemiach Zachodnich (ZZ). Kursy te trwające od 7 do 10 dni gromadziły każdorazowo od 30 do 40 osób, w tym nauczycieli szkół średnich i powszechnych, wizytatorów oraz inspektorów szkolnych. Kierownictwo kursów objęła wicedyrektor IZ dr Maria Kiełczewska i miały one na celu zaznajomienie uczestników z historią, geografią oraz zagadnieniami współczesnymi tych obszarów. Na kursach omawiano też związki historyczne i językowe ZZ z Polską, zagadnienia osadnictwa, w tym akcje migracyjne ludności polskiej z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Prelegentami byli głównie pracownicy Uniwersytetu Poznańskiego oraz IZ: profesorowie: Florian Barciński, Karol Górski (Uniwersytet Toruński), Zdzisław Kaczmarczyk, Roman Pollak, Bożena Stelmachowska, Stanisław Waszak, Zygmunt Wojciechowski i Stanisława Zajchowska; doktorzy: Antoni Czubiński, Witold Hensel, Gerard Labuda, Bogumił Krygowski, Kazimierz Kolańczyk, Maria Kiełczewska, Zdzisław Rajewski oraz Władysław Chojnacki, Maria Gosieniecka, Władysław Nawrocki i Mieczysław Suchocki. Ponadto redaktorzy Stanisław Kubiak i H. Barański oraz dyrektor departamentu w Ministerstwie Ziem Odzyskanych Leopold Gluck. W obradach uczestniczyli też wizytatorzy Ministerstwa Szkolnictwa oraz Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego. Uzupełnieniem kursów były seminaria, na których poprzez dyskusje i pytania pogłębiano przedstawiane w referatach zagadnienia<sup>23</sup>.

Już od lata 1945 r. IZ podjął prace nad przygotowaniem kilku serii wydawniczych, w tym dotyczącej Ziem Zachodnich. W zamku w Osiecznej – oprócz prac redakcyjnych – w latach 1949-1950 odbywały się liczne dyskusje i konferencje w sprawie przygotowywanej przez kilkunastu autorów monografii opublikowanych w seriach: *Ziemie Staropolski*, *Monografia Odry* oraz *Biblioteka Ziem Odzyskanych*. Ich współautorami byli m.in. prof. prof. Andrzej Grodek, Marian Friedberg, Zdzisław Kaczmarczyk, Maria Kiełczewska-Zalewska, Kazimierz Kolańczyk, Józef Kostrzewski, Gerard Labuda, Tadeusz Lehr-Spławiński, Bolesław Olszewicz, Kazimierz Piwarski, Władysław Rusiński, Mikołaj Rudnicki, Michał Sczaniecki, Stanisława Zajchowska oraz August Zierhoffer.

Również w Osiecznej miały miejsce posiedzenia związane z przygotowaniem oraz redakcją *Słownika Starożytności Słowiańskich*. Ponadto narady komitetów redakcyjnych czasopism „Przeglądu Zachodniego” i „Życia i Myśli” oraz posiedzenia członków Kuratorium Instytutu.

W latach 1946-1951 Instytut miał częste kontakty z przedstawicielami życia kulturalnego i naukowego w Czechosłowacji. Ich początkiem była zorganizowana w listopadzie 1946 r. w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu wystawa pt. „Czechosłowacja 1939-1945”, na którą zaproszona została delegacja tego kraju reprezentująca pisarzy, dziennikarzy i działaczy kultury. W rezultacie rozmów gości z Czechosłowacji z profesorem UP Józefem Kostrzewskim, wiceprezesem Komitetu Słowiańskiego i członkiem Instytutu uzgodniono warunki współpracy, w tym wymianę publikacji i spotkania z ich autorami, uznano też za konieczne utrzymywanie bezpośrednich kontaktów<sup>24</sup>.

<sup>22</sup> *Z życia Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 7-8/1946, s. 715.

<sup>23</sup> „Kronika”, „Przegląd Zachodni” nr 6/1945, s. 369-370, także nr 6/1947, s. 586.

<sup>24</sup> *Z życia Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 12/1946, s. 1083.



Efektorem nawiązanej współpracy była przygotowana w Osiecznej z inicjatywy Instytutu polsko-czeska konferencja, której celem było omówienie współpracy naukowej i kulturalnej. Zorganizowana w dniach 9 i 10 września 1947 r. połączona została z kilkudniowym pobytom całej 20-osobowej delegacji z Czechosłowacji w Polsce. Uczestniczyli w niej uczeni reprezentujący różne dyscypliny naukowe, literaci i publicyści. Byli to m.in. ze strony czeskiej prof. prof. prehistorii na Uniwersytecie w Pradze Jan Filip, historii wschodniej Europy na Uniwersytecie w Brnie Józef Macrek, historii literatury polskiej i czeskiej w Pradze Karol Krejčí, poeta i tłumacz poezji polskiej dr Jan Pilař, dyrektor wydawnictwa *Melantrich* w Pradze dr Jarosław Šalada. W składzie polskich uczestników konferencji znaleźli się m.in. prof. prof. Jan Czekanowski – antropolog i etnolog, Tadeusz Lehr-Spławiński – językoznawca i slawista, Karol Górski, Karol Maleczyński i Kazimierz Tymieniecki – historycy, Roman Pollak i Zygmunt Szweykowski – historycy literatury oraz dyrektor Instytutu – prawnik i historyk Zygmunt Wojciechowski. Uchwały przyjęte na konferencji dotyczyły przede wszystkim utworzenia w Instytucie Zachodnim Studium Czechosłowackiego, kontynuowania dalszej współpracy między czeskimi a polskimi uniwersytetami w zakresie kształcenia młodych badaczy i lektorów, wymiany studentów oraz przyznawania stypendiów. Ponadto popierania wspólnego publikowania prac uczonych polskich i czeskich w czasopiśmie naukowych w obu językach, wymianę wydawnictw celem uzupełnienia braków w bibliotekach i kompletowania wydawnictw bieżących.

Podczas uroczystej kolacji, która miała miejsce po pierwszym dniu obrad 9 września 1947 r., poeta i tłumacz poezji polskiej dr Jan Pilař odczytał niepublikowany jeszcze wiersz pt. *Pozdrowienie Polski*, który „na gorąco” tego dnia przetłumaczył z języka czeskiego na język polski obecny na konferencji początkujący wtedy młody poeta i dramaturg Tadeusz Różewicz<sup>25</sup> (s. 244 i 245 – oryginał wiersza i jego tłumaczenie).

Goście z Czechosłowacji wzięli też udział w zorganizowanych w Lesznie obchodach poświęconych Janowi Amosowi Komenskiemu, czeskiemu myślicielowi i pedagogowi, który od 1628 r. mieszkał w tym mieście. W uroczystościach tych brali również udział m.in. ambasadorzy: Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze Stefan Wierbłowski i Czechosłowacji w Warszawie Józef Hejret. Podczas pobytu w Polsce zaproszeni Goście wyjeżdżali z Osiecznej na zjazd przemysłowy do Szczecina poświęcony sprawom Pomorza Zachodniego oraz na spotkania we Wrocławiu i Poznaniu, organizowane przez tamtejsze Uniwersytety.

Kilka lat później w notatce z 5 marca 1952 r. sporządzonej na polecenie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) w sprawie IZ profesor Uniwersytetu Warszawskiego, prawnik Juliusz Bardach napisał: „Sekcja czeskosłowacka nie wykazuje żadnej aktywności naukowej, a kronika czeskosłowacka prowadzona w Przeglądzie Zachodnim bez określonej koncepcji, rejestrując mechanicznie fakty z różnych dziedzin życia nie odgrywa jakiegokolwiek istotnej roli w poznaniu przez polskie środowisko Naukowe życia bratniej Czechosłowacji”<sup>26</sup>. W 1955 r. zamieszczona została krótka informacja w poznańskim dzienniku „Głos Wielkopolski”, że: „Studium Czechosłowackie Instytutu Zachodniego mające na celu ‘zacieśnienie stosunków kulturalnych i naukowych’ z Czechosłowacją, po spełnieniu początkowych zadań zostało zlikwidowane”<sup>27</sup>.

<sup>25</sup> PAN Archiwum – Oddział w Poznaniu, sygn. PIII-8.; *Z życia Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 10/1947, s. 912-914.

<sup>26</sup> *Instytut Zachodni w dokumentach*. Wybór i opracowanie A. Choniawko, Z. Mazur, Poznań 2006, s. 115.

<sup>27</sup> Dodatek do „Głosu Wielkopolskiego” nr 24 z 19 czerwca 1955 r.

## Pozdravení Polsku

Jan Pilář

Na špičky stoupám a hledím  
přes zemi širokou,  
kde ještě kouří  
z ulitých požárů,  
kde v ruinách tlejí křídla včerejších bouří  
a osleplí dýmem si nevidí dosud  
do očí na dno.

Jen děti je učí říkati  
Mír  
tak snadno,  
jak by byl odjakživa.

Slyším, skřivan v povětří zpívá  
nad člověkem, který převrací zemi  
ohnivým rádlem.  
Vidím, cihly řezavě rudé  
dávají znamení světu,  
že byla a bude  
Varšava bliženko Prahy.

To ty ses vrátil ruku v ruce se mnou  
a měl jsi vidění stejná.  
Za ty, kteří se nevrátili,  
krvavým prstenem vtiskli jsme pečeť  
na příští listy.

Dnes otevru okna,  
jež od nás vedou k tobě  
a nechám je dokořán otevřená.

Aby bylo slyšet  
stébla roztačená,  
ruce zdvihající tíhu,  
aby provětrala stará spaliště  
právanem lidu.

Aby bylo vidět  
na dno ohvězděné,  
tam kde zvoní vlny Visly stříbropěnné.

Aby bylo možno  
podívat se zrána  
na oblaka Polsky pluhy rozoraná.

POLSKA AKADEMIA NAUK  
ARCHIWUM W WARSZAWIE  
ODOZIAŁ W POZNANIU

SYGNATURA P.111-8.....  
KONTAKT W PRAHA ZASTRZEŻONE

## Pozdrowienie Polski

Jan Pilař

Na palce się wspinam i widzę  
ziemię szeroką,  
gdzie jeszcze dymy  
gasnących pożarów,  
gdzie tlą się w ruinach  
skrzydła burz wczorajszych  
i ludzie od dymu oślepli  
dna swoich oczu nie widzą.

Tylko dzieci uczą ich wymawiać:  
Pokój  
tak łatwo  
jakby on był od początku świata.

Słyszę jak skowronek napełnił śpiewem  
powietrze nad człowiekiem, który ~~korze~~ <sup>(mówi)</sup> ziemię  
ognistym ostrzem.  
Widzę, jak cegły czerwonym płomieniem  
dają znać światu:  
była i będzie  
Warszawa siostrą Pragi.

Tys wrócił ze mną ramię przy ramieniu  
i śniliśmy jeden sen.  
Za tych, którzy nie wrócili  
krwawymy znak wyciśnęli  
na kartach przyszłości.

Dziś okna otworzę  
co od nas do ciebie prowadzi  
i zostawię je rozwarne na oścież.

Żeby było słychać  
żany roztańczone,  
żeby było widać ręce dźwigające,  
żeby przewietrzała stara spalenizna,  
żeby oddech ludu napełnił tę ziemię.

<sup>spójnie</sup>  
Aby można dojrzeć  
na dno wygwieżdzone,  
tam, gdzie fale Wisły srebrnopiennej dzwonią.

Aby można było  
popatrzeć się zrana  
na polskie obłoki plugiem rozorane.

Warta przypomnienia i odnotowania ze względu na Jubilata i zgromadzonych Gości jest zorganizowana w Osiecznej 20 września 1951 r. wyjątkowa uroczystość. Obchodzącemu w tym roku 40-lecie pracy naukowej i w tym dniu 60-lecie urodzin językoznawcy i slawiście Profesorowi Uniwersytetów we Lwowie, Krakowie i Poznaniu, członkowi Polskiej Akademii Umiejętności Tadeuszowi Lehrowi-Spławińskiemu uroczystość wręczono tom II „Przeglądu Zachodniego” za rok 1951. Na Jubileusz Profesora przyjechało wielu wybitnych naukowców, reprezentujących różne dyscypliny naukowe.

Po wręczeniu tomu Jubilatowi przez I wiceprezesa Kuratorium IZ Rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Stanisława Kulczyńskiego wykonano fotografię uczestniczących w uroczystości gości. Byli wśród nich filologowie, językoznawcy i historycy literatury: prof. prof. Ryszard Gansiniec, Zenon Klemensiewicz, Władysław Kuraskiewicz, Jerzy Kuryłowicz, Tadeusz Milewski, Kazimierz Nitsch, Michał Pollak, Mikołaj Rudnicki, Franciszek Sławski, Zdzisław Stieber, Stanisław Urbańczyk, Stefan Wierczyński; historycy: prof. prof. Stanisław Bodniak, Aleksander Gieysztor, Andrzej Grodek, Władysław Kowalenko, Tadeusz Lewicki, Tadeusz Manteuffel, Kazimierz Piwarski, Tadeusz Silnicki, Kazimierz Tymieniecki, Zygmunt Wojciechowski; archeolodzy: prof. prof. Witold Hensel, Rudolf Jamka, Konrad Jażdżewski, Józef Kostrzewski; prawnicy: prof. prof. Stanisław Bodniak, Marian Jedlicki, Alfons Klafkowski, Józef Matuszewski, Michał Szczaniecki, antropolog i etnolog prof. Jan Czekanowski oraz Józef Gajek, botanik prof. Stanisław Kulczyński, socjolog prof. Paweł Rybicki, historyk sztuki, poeta i krytyk literacki prof. Wojśław Molé oraz eseista i publicysta Aleksander Rogalski.

Podczas wspólnego, uroczystego obiadu wygłoszono wiele przemówień i wzniesiono szereg toastów. W imieniu Instytutu przemawiał dyrektor prof. Zygmunt Wojciechowski, przypominając swoją przedwojenną, trwającą w czasie wojny i po wojnie współpracę naukową z prof. Lehrem-Spławińskim. Szczególne przemówienia wygłosili m.in. kolega Jubilata od czasów gimnazjalnych profesor i prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Dąbrowski oraz nauczyciel Jubilata z czasów uniwersyteckich prof. Kazimierz Nitsch, który w pełnym serdeczności i dowcipu toaście stwierdził, że jego „zasługą w karierze naukowej Jubilata było to, że przed 40-tu laty zalecił do druku pierwszą pracę studenta UJ. Gdyby tego nie uczynił, obchodzono by teraz 60-lecie urodzin Profesora Lehr-Spławińskiego, a nie 40-lecie Jego pracy naukowej”<sup>28</sup>.

W Instytucie Zachodnim, mimo wielu przeszkód zdołano w latach 1945-1954 wydać ponad 90 książek o nakładzie blisko pół miliona egzemplarzy. Były wśród nich wydawnictwa seryjne, m.in. Studium niemcoznawcze Instytutu Zachodniego, Badania nad okupacją niemiecką w Polsce, Documenta Occupationis, Biblioteka Ziemi Lubuskiej oraz wspomniane już Monografia Odry oraz Ziemie Staropolski. Opublikowanych w tym czasie zostało ponadto około 100 arkuszy „Przeglądu Zachodniego. Prace naukowe oraz redakcyjne nad

---

<sup>28</sup> Z *życia Instytutu Zachodniego*, „Przegląd Zachodni” nr 9/10, 1951, s. 311. W związku z przygotowywanymi uroczystościami dyrektor Instytutu skierował pismo do Kierownictwa Domu w Osiecznej, w którym napisał m.in. „Uczestnicy płacą za pierwszy dzień pobytu po 15.-; za drugi dzień pobytu również po zł. 15. W tym dniu odbędzie się wręczenie wydawnictwa pamiątkowego Prezesowi Kuratorium Instytutu Prof. Tadeuszowi Lehr-Spławińskiemu.... Dyrekcja Instytutu urządzi w drugim dniu herbatkę, na pokrycie kosztów której przeznaczą kwotę zł. 15. – do uczestnika. O ile by uczestnicy życzyli sobie podania alkoholów, zakupią je bezpośrednio sami z własnych pieniędzy. Zakup ten nie interesuje Kierownictwa Domu” (AIZ, sygn.85/5, Osieczna).

UCZESTNICY UROCZYSTOŚCI WRĘCZENIA TOMU „PRZEGLĄDU ZACHODNIEGO” PROFESOROWI TADEUSZOWI LEHR-OWI-SPLAWIŃSKIEMU  
W OSIECZNEJ W DNIU 20 WRZEŚNIA 1951 ROKU



Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej: K. Tymieniecki, Z. Wojciechowski, M. Wojciechowska, M. Pollak, Z. Lehr-Splawińska, K. Nisch, Tadeusz Lehr-Splawiński, St. Kulczyński, A. Wystouchowa, J. Czekanowski, M. Kiełczewska-Zaleska, J. Dąbrowski.

Stoją w drugim rzędzie od lewej: W. Kuraszkiewicz, M. Staszewska, oraz z tyłu za M. Staszewska – Z. Stieber, W. Lehr-Splawiński, A. Lehr-Splawińska, B. Lehr-Splawińska, St. Wierczyński, K. Piwarski, H. Kamińska, Z. Klemeniewicz, M. Jedlicki, J. Kuryłowicz, J. Gajek, T. Milewski, S. Wystouch, A. Zierhoff, J. Kostrzewski, K. Jazdzewski, W. Kowalenko, R. Gansiniec, W. Molè, P. Rybicki.

Stoją w trzecim rzędzie od lewej: R. Jamka, W. Hensel, M. Suchocki, T. Lewicki, St. Urbaitczyk, T. Wąsowiczówna, H. Barycz, M. Wojciechowski, Fr. Sławski, St. Kamiński, A. Siudut, V. Franczák, A. Kłafkowski, J. Sęfářewicz, A. Stanisławski, W. Głowacki, J. Matuszewski, A. Rogalski, A. Grodek, T. Silnicki, M. Sezaniecki, A. Gieysztor, Z. Hilezerówna, Z. Kaczmareczyk.

tymi wydawnictwami w dużej mierze wykonywano właśnie w pałacu w Osiecznej. Niemały na to wpływ miały trudne warunki lokalowe w siedzibie Instytutu przy ulicy Chełmońskiego w Poznaniu. Inaczej było w Osiecznej, gdzie oprócz dobrych warunków mieszkalnych zapewniano jeszcze zdrowe i smaczne całodzienne wyżywienie, spokój oraz dobre miejsce dla odpoczynku. Wszystko to sprzyjało „uprawianiu” z dobrymi rezultatami pracy naukowej oraz wymagającej skupienia pracy redakcyjnej.

Zamek w Osiecznej oprócz zjazdów, konferencji, pracy naukowej i redakcyjnej był też miejscem wypoczynku dla pracowników IZ oraz ich rodzin, ponadto Uniwersytetu Poznańskiego i Drukarni św. Wojciecha. W sezonach letnich korzystało z organizowanego w nim wypoczynku przeciętnie ok. 50 osób<sup>29</sup>.

Administratorkami w Osiecznej z ramienia Instytutu były panie: Izabela Drobniakowa (od czerwca 1945 do stycznia 1947 r. i od sierpnia 1949 do grudnia 1953 r.); Aleksandra Szajkowska (od sierpnia 1947 do maja 1949 r.); Halina Całkowa (od sierpnia 1949 r. do grudnia 1953 r.) Szczególnie z „Osieczną” związana była Pani Halina Całkowa, pracująca w Instytucie od 1 grudnia 1945 r. do czasu przejścia na emeryturę 31 maja 1992 r. Od początku swej pracy do lutego 1954 r. pełniła funkcję referentki administracyjnej Instytutu, sprawującej nadzór nad ośrodkiem w Osiecznej, ale tak naprawdę była świetną organizatorką zjazdów naukowych, konferencji oraz spotkań i „dobrym duchem Osiecznej”<sup>30</sup>. W swoich niestety krótkich, opublikowanych wspomnieniach poświęconych pracy w Instytucie napisała o zamku w Osiecznej:

„Spełniał on przez cały okres użytkowania go przez Instytut rolę ośrodka konferencyjno-naukowego. Tu odbywały się konferencje naukowe, sympozja, narady naukowe i narady robocze. Pamiętam je, pełne zaangażowania, ocen, programów działania, dyskusji żywej, wolnej od obaw, sloganów, drętwy. Organizatorami były różne ośrodki naukowe. Tu również wielu pracowników przygotowywało swe prace do druku, wśród nich przede wszystkim naukowcy z Instytutu... Dom ten upodobał sobie również Profesor [Wojciechowski]. Czuł się w nim dobrze. Zbierał tu siły do dalszej pracy, działania. Tu przygotowywał programy pracy dla Instytutu, przewodniczył konferencjom i naradom roboczym. Tu spotykał się z przyjaciółmi i ze swoimi pracownikami z Instytutu. Tu wymyślał dla wszystkich tzw. zajęcia wypoczynkowe, wyprawy do lasu, grzybobranie, wypadu na plażę. Wieczory przy muzyce i śpiewie, tańce, swawole. Uczestniczyli w nich stali bywalcy Domu. Pamiętam bal maskowy, zorganizowały go letniczki za namową Profesora. Widzę jeszcze dziś ten zachwyt w oczach panów profesorów młodszych i trochę starszych na widok kobiet ubranych w szmatki. Wyglądały w nich uroczo”<sup>31</sup>.

Równie krótki opis pobytu w zamku latem 1945 r. znaleźć można w opublikowanych wspomnieniach Haliny Kiryłowej Sosnowskiej, żony jednego z twórców Instytutu Zachodniego i pierwszego redaktora „Przeglądu Zachodniego” Kiriya Sosnowskiego.

---

<sup>29</sup> Warto zaznaczyć, że w oficjalnych pismach Instytutu od 1947 r. nie pojawiają się już określenia pałac czy zamek w Osiecznej, ale: Dom Konferencyjny, Dom Konferencyjno-Wypoczynkowy (1951), Dom Pracy Naukowej (1953), Ośrodek lub po prostu Osieczna. Chodziło najprawdopodobniej o to, aby nazywaniem dzierżawionego obiektu pałacem lub zamkiem nie drażnić miejscowych władz partyjnych oraz urzędników komunistycznych wyższych szczebli.

<sup>30</sup> Akta personalne Instytutu Zachodniego.

<sup>31</sup> H. Całka, *Zamek – Osieczna-Dom Pracy Twórczej IZ*, „Przegląd Zachodni” nr 3/1994, s. 142.

„Nie potrafię opisać, jak bardzo czułam się szczęśliwa i odprężona tej wiosny i ciepłego lata 1945 r. W pięknym pałacu nad jeziorem, wśród starych drzew dużego parku. Na łące nad jeziorem stado bocianów szkoliło swoje młode do jesiennego lotu, a dalej ciągnął się sosnowy las. Nie musiałam troszczyć się o jedzenie, byliśmy na wikcie Instytutu – forma zapłaty za pracę Kiriły. Przyjeżdżał często, wychodziłyśmy mu na spotkanie szosą do Lipna. Gdy zaczęła się praca nad maszynopisami i *Dolnym Śląskiem* przebywał z nami w Osiecznej, dojeżdżając do Poznania. Latem zaludniło się w Zamku, przyjeżdżali pierwsi goście, pracownicy naukowcy z Warszawy, Krakowa, często z rodzinami”<sup>32</sup>.

W archiwum Instytutu zachowały się jadłospisy zorganizowanej w Osiecznej stołówki. Wiadomo więc jakie potrawy spożywali przebywający tam pracownicy Instytutu oraz goście. I tak na śniadanie najczęściej jadano: z pieczywa – bułki i chleb; masło i smalec, sery białe, żółte i smażone; marmoladę i powidlą; do picia – kawę zbożową, herbatę oraz mleko. Na obiad były: zupy – najczęściej jarzynowa, pomidorowa, rosół i barszcz. W skład menu drugich dań wchodziły: wszelkiego rodzaju pierogi, jajka, potrawy jarskie, mięsa gotowane lub smażone (wieprzowina, cielęcina oraz wołowina), jarzyny gotowane lub surówki, także kompoty z różnych owoców oraz leguminy. Na kolację podawano: pieczywo, masło, sery, pasztety, rzadziej wędliny; ponadto różnego rodzaju kasze, flaczki, kotlety mielone na zimno i w zależności od pory roku pomidory lub ogórki, świeże lub kwaszone, rzodkiewkę oraz inne jarzyny. Prawie wszystkie spożywane jarzyny i owoce pochodziły z własnego sadu i ogrodu warzywnego. Do 1949 r. wiele z produktów żywnościowych, takich jak sery oraz mięsa i wędliny, było dostarczanych do stołówek w Osiecznej i Poznaniu z majątku Jeziorki<sup>33</sup>.

Jednak czas świetności Instytutu począwszy od 1945 r., czego wyrazem był imponujący dorobek naukowy i wydawniczy, załamał się w końcu lat czterdziestych ubiegłego wieku. Zaczęły się mnożyć oskarżenia o nacjonalizm i klerykalizm. Coraz bardziej też partyjnych decydentów drażniły samodzielne często decyzje dyrektora profesora Zygmunta Wojciechowskiego dotyczące profilu naukowego Instytutu. Pod zarzutem kontynuowania działalności konspiracyjnej aresztowano i skazano na kary wieloletniego więzienia bliskich współpracowników Profesora: mecenasa Jana Jacka Nikischa, prawnika Edwarda Serwańskiego oraz Kiriły Sosnowskiego – pierwszego redaktora „Przeglądu Zachodniego”. Gwałtownie malały dotacje finansowe i – co było tego konsekwencją – liczba pracowników naukowych. W cytowanej już wyżej notatce napisanej przez prof. Bardacha znalazł się i taki zapis:

„Politycznie Instytut jest całkowicie opanowany przez grupę katolików, których skupił wokół siebie Zygmunt Wojciechowski. Personel administracyjno-techniczny Instytutu jest również dobrany pod kątem politycznego katolicyzmu. Partia nie ma żadnego realnego wpływu na pracę Instytutu, a w szczególności na tematykę i metodę podejmowanych prac”<sup>34</sup>.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie ma miejsca dla Instytutu w nowym modelu funkcjonowania nauki polskiej przyjętym w 1951 r. przez powołaną wtedy Polską Akademię Nauk (PAN). W tych warunkach, w styczniu 1954 r. Sekretariat Naukowy PAN podjął decyzję o przejściu Domu Pracy Naukowej Instytutu Zachodniego w Osiecznej i utworzeniu

<sup>32</sup> H. Kiriłowa-Sosnowska, *Gościńce...*, s. 192.

<sup>33</sup> AIZ, sygn.85/9 Jeziorki.

<sup>34</sup> *Instytut Zachodni w dokumentach...*, s. 115; H. Olszewski, *Instytut Zachodni 1944-1994*, w: *Instytut Zachodni 50 lat*, Poznań 1994, s. 24.

w nim Domu Pracy Twórczej PAN. Ostatecznie dnia 1 lutego 1954 r. w Poznaniu podpisano akt zdawczo-odbiorczego majątku nieruchomego i ruchomego Domu Pracy Naukowej w Osiecznej Instytutu Zachodniego. Akt ten podpisali – dyrektor Biura Administracyjnego Polskiej Akademii Nauk mgr Ludwik Hilgier oraz dyrektor Instytutu Zachodniego prof. dr Zygmunt Wojciechowski. W podpisanym akcie zapisano, że żadnych zobowiązań i zaległości finansowych z tytułu prowadzenia przez Instytut Zachodni Domu Pracy Naukowej Osieczna nie stwierdzono. Ponadto w dołączonym do aktu protokole komisji kontrolnej stwierdzono zgodność stanu wcześniejszych inwentaryzacji dotyczących wyposażenia zamku ze stanem rzeczywistym. W aktach archiwum Instytutu zachowały się liczące 23 strony spisy zdawczo-odbiorcze dotyczące wyposażenia zamku w chwili przejścia obiektu przez PAN, m.in. w meble, obrazy, lampy, zegary, srebra, porcelanę oraz instrumenty muzyczne<sup>35</sup>. Do 1959 r. zamek był w gestii Polskiej Akademii Nauk, później został przekazany Wojewódzkiemu Wydziałowi Zdrowia w Poznaniu.

MARIA RUTOWSKA

## Aneks

W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie znajduje się kilka „Doniesień agenturalnych” sporządzonych w początkach lat 50. ubiegłego wieku, opisujących Dyrektora Instytutu prof. dr. Zygmunta Wojciechowskiego oraz inne osoby zatrudnione w Instytucie i z nim współpracujące. Wartość informacji zawartych w poszczególnych „Doniesieniach” jest zróżnicowana, a cały zbiór w formie mikrofilmu sporządzony z tzw. przebitek maszynowych sprawia trudności z dokładnym odczytaniem. Publikowany poniżej tekst jednego z „Doniesień” napisany został w listopadzie 1951 r. w siedzibie Instytutu – zamku w Osiecznej. Wydaje się interesujący i można go było odczytać prawie w całości.

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej  
Sygn. BU 01208/158.

Źródło: „Edward”  
Przyjął: Konieczny  
Dnia: 17.XI.1951r.

Poznań, dnia 24 listopada 1951 r.  
Ścisłe tajne !

### DONIESIENIE AGENTURALNE

Osieczna w czasie 22.X. – 13.XI.1951.

W dniu 22.X. przybył prof. Wojciechowski z zespołem pracowników Instytutu Zachodniego: Zofia Hilczer (ojciec jej zatrudniony w IZ), Halina Całkosz\* (mąż jej oficer A.K. zginął w powstaniu warszawskim), Halina Tłokowa, maszynistka i Janina Buzanowska (maszynistka) do Osiecznej dla wykonania pracy następującej: przepisania na maszynach dyktowania i kolacjonowania tłumaczenia na język polski znanego dzieła radzieckiego uczonego prof. B.D. Grekova „Istoryja Rusi” ponad 5.000 stron druku. Dodatkowo jeszcze

<sup>35</sup> AIZ, sygn.85/8, Osieczna.



przyjechała z I.Z. Łastowska Zofia (Alina, zatrudniona w Bibliotece I.Z. do pomocy w tej pracy – jako dobrze znająca język rosyjski (pochodzi z Wilna), ojciec jej był profesorem na Wydziale Rolnym – obecnie prof. U.P). Cały ten zespół rzeczywiście dokonywał wspomnianą pracę, o czym mogłem się przekonać na podstawie rosnących kart. Tłumaczenia całego dzieła dokonywała Zofia Hilczerówna, studentka III roku prehistorii U.P. Śpieszono się bardzo z tymi pracami, ponieważ ma być tłumaczenie jak najprędzej wysłane do Moskwy, gdzie prof. Greków, który znając dobrze język polski, jako, że przebywał jeszcze w okresie carskim w tzw. Kongresówce chciał sam przejrzeć te tłumaczenia.

W 3 dni po przyjeździe do Osiecznej zachorował prof. Wojciechowski bardzo poważnie (lekarze nie umieli dokładnie określić choroby – może było to zapalenie płuc, dawali wielkie dawki penicyliny). Gorączka jego wahała się od 37,5 do 40 stopni. W tym stanie rzeczy przyjechała prof. M. Wojciechowska, (żona) aby przy chorobie męża być pomocą. Choroba przeszła po zaleceniu 13.XI. br. a M. Wojciechowska pozostawała cały czas w Osiecznej, telefonując po kilka razy dziennie do Poznania. Rozmowy dotyczyły spraw domowych (tj. gospodarczych) choroby i rozmów z lekarzami. Doc. dr. Horsten\*\* w Poznaniu lub naukowo-organizacyjnych..., mieszka podobno u Wojciechowskiego. W sobotę i niedzielę z 26 na 27 na telefoniczne zaproszenie przybył rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Seweryn Wysłouch z małżonką lekarką. W czasie rozmów towarzyskich prof. Wysłouch dawał wyraz wielkiego niezadowolenia z obecnych stosunków politycznych w kraju, ze szczególnym uprzedzeniem wygłaszał dowcipy na ten temat i oświadczył między innymi, że najchętniej by się z życia uniwersyteckiego i całego bałaganu wycofał. Ze szczególną złośliwością mówił o metodach statystyk gospodarczych, które jego zdaniem w ogóle nie odpowiadają rzeczywistości. Wszystkie osoby wymienione wyżej z wyjątkiem prof. Wojciechowskiego i jego żony, którzy nie byli obecni przy stole, z żywym zadowoleniem i potakiwaniem przysłuchiwali się rozmowom – sens ten szedł w tym kierunku, że sytuacja taka ostać się na dłuższą metę nie może, że musi się wszystko skończyć i zmienić. Wysłouchowie wyjechali w poniedziałek 29. X. rano do Wrocławia.

Częstym gościem u Wojciechowskiego był Ziembowski b. ziemianin, obecnie państwową hodowla koni w jakiejś okolicznej wsi koło Osiecznej. Jego nie poznałem, jak się dowiedziałem jest to starszy elegancki pan, bardzo krytycznie nastawiony do obecnej rzeczywistości aktualnej. Poza tym dopóki prof. Wojciechowski był zdrowy często chodził do lekarza w Osiecznej Stanisława Kamińskiego, przybyłego ze Lwowa. Kamiński często jako lekarz odwiedzał prof. W. zawsze jednak pozostawał długo na rozmowach z nim. Łączą go jakieś bliższe kontakty z zakonnikami (franciszkanami zamieszkującymi w tamtejszym klasztorze). Gdy raz powiedziałem mu, że przybył nowy gwardiarz do klasztoru, który miał być księdzem patriotą zaniepokoił się bardzo poważnie. Powiedział wprost ta sprawa mnie specjalnie interesuje i niepokoi jednocześnie wiem, że natychmiast następnego dnia sprawę badał i stwierdził, że wszystko zostaje po staremu. Kamiński bywa w klasztorze prawie codziennie, również jego żona. W czasie między 22.X. – 17. XI. przybył do Osiecznej dwukrotnie dr. Mieczysław Suchocki, aby jak mi mówił uzgodnić sprawy redakcyjne „Przeglądu Zachodniego” i miesięcznika „Życie i Myśl”. Długo rozmawiał do późnej nocy z prof. Wojciechowskim. W czasie nieobecności jego w pokoju zamykał pokój ten z przyzwyczajenia na klucz, choć tego nikt w zamku nie robił. Suchocki był w Osiecznej dwa razy przez jedną dobę i zaraz wracał do Poznania. M. Wojciechowska opowiadała o swych dobrych stosunkach z Ochabem poza tym o nawiązaniu bliższego kontaktu z (*zaczernione*) w (*zaczernione*) jej latach studenckich. (*zaczernione*) u siebie w Poznaniu, która Wojciechowskich zapraszała do swego prywatnego

mieszkania w Warszawie. Również opowiadała o swoich kontaktach z obywatelką Okręt, która z ramienia KC.PZPR jest delegowana do Polskiej Akademii Nauk i która przyrzekła jak najdłuższą pomoc w czasie organizacji nauk POZ, TOW, Przyj. NAUK.\*\*\* Przyrzekła też jej pomoc w razie trudności lokalnych w mieszkaniu prywatnym Wojciechowskich przy ulicy Góralskiej na Sołacz. Mają rzekomo za duże mieszkanie dlatego biblioteka prywatna prof. W. jest zgłoszona jako naukowa Biblioteka Instytutu Zachodniego. Po 1. XI. przyjechała do Osiecznej Magdalena Staszewska, wdowa po doc. U.P.\*\*\*\* pracownica Instytutu Zach. Mówiła mi z wielką ulgą, że wreszcie literat Zbyszko Bednarz\*\*\*\*\* z Katowic jest zwolniony, choć dostał osiem lat. Gdy pytałem, za co dostał, powiedziała, że zarzucono mu szpiegostwo. Gdy pytałem, czy mieli z nim jako literatem bliższe stosunki w I.Z. ominęła niż nie znaczącymi słowami wypowiedź, przecież pan wie, że pisał dla monografii Dolny Śląsk. Syn jej jest aktywistą ZMP. W Poznaniu (Wojciech Staszewski) pracuje w Gł. Wielkopolskim, gdy jej wspominałem, że się politycznie udziela zasmuciło ją to bardzo i zmieniła temat rozmowy, twierdząc że jest teraz chory na płuca i przebywać musi w Górach Dolnośląskich (Jelenia Góra). Około 9.XI. przybył do Osiecznej na wypoczynek niejaki Karbowski, zupełnie niezwiązany z I.Z., twierdzi, że prof. Wojciechowski nie zna osobiście. Pracuje on jako pianista w jakiejś Instytucji Gastronomicznej w Poznaniu (Belweder jest siedzibą w/w.) Miał dawniej w Poznaniu jakąś fabrykę keksów. Człowiek o dziwnych zainteresowaniach strategicznych w lekturze taktyki napoleońskiej. Był oficerem armii angielskiej w czasie pierwszej wojny światowej, potem z armią Hallera przybył przez Francję do Polski, ale w mundurze oficera angielskiego, otrzymując od pewnego znajomego w Warszawie „Dail Mail” (gazetę angielską)\*\*\*\*\* której tu czytać nie wolno. Tam w jakimś numerze była dokładna mapa działań strategicznych w przyszłej wojnie przeciwko bolszewikom. Karbowski jest dobrze zorientowany w sprawach aprowizacji, wie rzekomo co jest zmagazynowane. Powiedział też, że ma od pewnej wysoko postawionej figury w Warszawie wiadomości jaki będzie wynik procesu Sychalski – Gomółka i że potem będzie proces przeciwko Żymirskiemu, który już siedzi. Karbowski mówi ciągle po angielski. Rzekomo jego córka pracuje w Instytucji Zachodnim. Dnia 13.XI. przyjechał do Osiecznej prof. Lehr Splawiński z Krakowa na telefoniczne zaproszenia.

Marek Kwiec doc. U.P. (akustyka) był w latach 1945/6 intendentem U.P., przeprowadzał porządki po zniszczeniach wojennych. Usunięto go z powodu jakiś machinacji finansowych z tego stanowiska. Potem był asystentem muzykologii – gry, gdy przybył do Poznania prof. Chybiński ? (*nazwisko nieczytelne*) był z tego stanowiska usunięty. Po czym jako kwalifikowany adiunkt pracował w Instytucji Fizyki U.P. jako akustyk (jego specjalność). Przed wojną dostarczał naukowo opracowane dane dot. fabryk samolotów w kraju. Teściem jego jest dr. Głowacki, znany z przed wojny, były dyrektor departamentu monopoli w Ministerstwie Skupu. Jest szwagrem Włodzimierza Głowackiego, który pozostaje z prof. Wojciechowskim w bardzo zażyłych stosunkach z czasów okupacji. Dr Głowacki b. dyr. Dep. Monopoli przeprowadzał sprawy umów handlowych i przemysłowych z za granicą nawet z samym *Harizannem* USA sławna transakcja dot. monopolu zapalczanego. Poza tym przebywał dużo zagranicą. Pod Szamotułami kupił sobie majątek ziemski, który dotąd jest w posiadaniu jego żony. Tam często przebywają Kwiekowie. Kwiec utrzymuje kontakty naukowe z zakresu fizyki z zagranicą. W czasie podróży z nim do Warszawy (przypadkowe spotkanie) w jesieni 1950 r. miał jako lekturę najnowsze publikacje angielskie z fizyki.

Wojciechowscy rewizytowali (*zaczernione*) w Warszawie (*zaczernione*). Z rozmów z Wojciechowską mogłem wywnioskować, że niewiele robi sobie z tej osoby. Po prostu, że Wojciechowska jest bystrzejsza i chytrzejsza. W każdym razie jest zadowolona z odnowienia dalszej przyjacielskiej znajomości.

Prof. Wojciechowski w dniu 7. XI. br. w rozmowie ze mną powiedział „Celem Instytutu Zachodniego jest być w defensywie wobec nowych marksistowskich poczynań naukowych. Musimy bronić naukowych prawdziwych zasad nauki polskiej”. W sprawie przyszłych losów Instytutu Zachodniego wyraził pogląd, że niektóre sprawy w Inst. Zach. będą musiały ulec zmianie z chwilą przejścia go do ramy organizacyjnej Polskiej Akademii Nauk. Liczę się z tym powiedział, że przyjdzie jakiś Komisarz z P.A.N. i że niektórzy pracownicy będą musieli opuścić tą placówkę.

Wojciechowska w rozmowach między innymi powiedziała, że Skrzyszewski nic nie znaczy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, natomiast tam pierwsze skrzypace gra Wierbłowski, którego też poznałam.

#### Zadanie

1. W związku z przypadającymi imieninami na dzień 13. XI. Stanisławy Zajchowskiej złożyć jej spóźnione życzenia w domu prywatnym, a następnie przeprowadzić rozmowę na tematy związane z Instytutem Zachodnim, w czasie rozmowy podkreślić dobre stosunki panujące między Wami a prof. Wojciechowskim oraz wspomnieć o trzy-tygodniowym pobycie w Osiecznie. Ustalić w rozmowie jakie stanowisko ma:
  - a) w Instytucie ma Suchocki Mieczysław
  - b) jaką rolę spełnia Klafkowski, nadmienić o jego pozytywnych wypowiedziach itd.
  - c) zapytać jak wygląda stan zdrowie Pollaka i w jakich okolicznościach nastąpił wypadek.

Rozmowę na powyższe tematy przeprowadzić po wywołaniu serdecznej atmosfery.

#### Przedsięwzięcie:

1. Wysłać pismo do PUBP. Leszno w sprawie ustalenia, czy na terenie pow. Leszno gm. Osieczna, zam. Ziembowski, zażądać jego charakterystyki oraz doktora Kamińskiego, lekarza z terenu Osiecznej.
2. Ustalić przez Wydz. A., czy na terenie Poznania zam. Karbowski oraz czy w którym z przedsiębiorstw gastronomicznych nie jest zatrudniony na terenie Poznania.
3. Wyciągnąć z UP. akta studentki III roku Hilczer Zofii i sprawdzić kim oni są, gdzie pracował jej ojciec itd.
4. Wysłać do PUBP. Szamotuły pismo w sprawie ustalenia czy na terenie pow. jest majątek Głowackich, oraz jaką działalność prowadzą mieszkańcy tego majątku, kto tam przyjeżdża itd.

#### Ocena

Informator sprawdzony

PT. w 3 egz.

egz. tecz. rob.

egz. spr. "Zachód"

egz. M.B.P.

Za zgodność:

- \* Poprawnie Halina Całkowa, mąż Leon Całka, ekonomista i publicysta, członek organizacji konspiracyjnej „Ojczyzna”, rozstrzelany podczas Powstania Warszawskiego między 10-12 sierpnia 1944 r. podczas masowych egzekucji.
- \*\* Antoni Horst, od jesieni 1939 r. członek organizacji konspiracyjnej „Ojczyzna”. Lekarz, od 1946 r. mieszkał w Poznaniu. Profesor i kierownik Zakładu Patologii Ogólnej, później dziekan Wydziału Lekarskiego oraz rektor Akademii Medycznej w Poznaniu.

- \*\*\* Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.
- \*\*\*\* Janusz Staszewski, dr, historyk wojskowości archiwista, W latach 1928-1939 pracował w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Zmobilizowany jako podporucznik sztabu, został ciężko ranny w czasie nalotu pod Brześciem n. Bugiem. Zmarł w szpitalu w Wilnie. (Jako datę zgonu przyjęto dzień 28 września 1939 r.)
- \*\*\*\*\* Poprawnie Zbyszko Bednorz, członek organizacji konspiracyjnej „Ojczyzna”.
- \*\*\*\*\* Chyba chodzi tutaj o angielski dziennik „Daily Mail”.

## SŁOWNIK SERDECZNY

Instytut Zachodni, a dokładniej – Redakcja „Przeglądu Zachodniego”, stała się moim miejscem pracy w październiku 1965 r. Miałam wówczas 25 lat, ukończone trzy lata wcześniej studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i bardzo wątle doświadczenie zawodowe, wynikające z prac zleconych na uczelni i dłuższego zastępstwa na etacie nauczyciela w szkole podstawowej. O Instytucie wiedziałam wówczas niewiele, o obowiązkach redaktorskich jeszcze mniej – była we mnie natomiast natężona ciekawość i determinacja, by gdzieś się przydać i możliwie dużo nauczyć. W Instytucie pozostałam ponad 11 lat. Był to okres kluczowy w mojej zawodowej biografii. Miałam ogromne szczęście, że w tym, jakże pod wieloma względami trudnym czasie, znalazłam się w takim miejscu i wśród takich ludzi. Wystarczyło mieć oczy i uszy otwarte, a każdy dzień przynosił cenny bilans zysków: skokowo poszerzał wiedzę, utrwalał określony system wartości, umacniał przyjaźnie.

Teraz, gdy „Przegląd Zachodni” zyskuje rangę Dostojnego Jubilata, chciałabym przypomnieć osoby z nim związane, te, które najtrwalej zapadły mi w pamięć. Chcę Im dedykować poniższe zapiski, będące zaledwie szkicowymi impresjami, układającymi się w formę, którą nazwałam *Słownikiem serdecznym*. „Materiał” do niego „zbierałam” przed blisko półwieczem. Nie zamierzam niczego korygować, ale winna jestem przypomnienie – między tamtą osobą, po raz pierwszy wkraczającą na poznańskim Rynku do budynku Wagi, a mną dzisiaj leży prawie całe moje dorosłe życie.

Z licznych przykładów wynika, że pierwszy dzień w nowej pracy pamięta się albo z dokładnością do najmniejszego szczegółu, albo wcale. Należę do tych „innych”, lokujących się pośrodku. Do pewnego momentu prawie nic, potem – olśnienie. A więc tylko mgliście kojarzę, że do Redakcji przyjmował mnie szef Wydawnictwa IZ dr Antoni Władysław Walczak, w nawiązaniu do swych inicjałów funkcjonujący dość powszechnie jako „A-wu-wu”. Zupełnie się nie orientowałam, że moją edukację w „Przeglądzie” zaczynałam w momencie istotnych zmian organizacyjnych działu. Związany dotąd z Agencją Interpress, dr Walczak przychodził na miejsce dra Mieczysława Suchockiego, który po chlubnych latach kierowania wydawnictwami zasiliał teraz grono naukowców. Siedziba Naczelnego (słowo „gabinet” nie miało tu zastosowania) mieściła się wówczas na parterze Wagi. Urzędował w małym pokoiku, przylegającym do równie małego korytarzyka, w pełnym oderwaniu od pozostałych pomieszczeń redakcyjnych. Te składały się z pokoju redaktora „Przeglądu”

Władysława Tomaszewskiego, który był teraz moim bezpośrednim zwierzchnikiem, oraz tzw. górki, czyli pomieszczeń naszej Korekty, ulokowanej w urokliwej przestrzeni adaptowanej w Wadze ze strychu.

Parterowy pokój, który miałam dzielić z szefem, mieścił dwa biurka, nie posiadał bezpośredniego wejścia (wchodziło się przez pokój pani Całkowej – zob. niżej), ale za to okno wychodzące na Rynek, przez które często zaglądali przechodnie, a my utrzymywaliśmy wzrokowy kontakt ze światem.

Redaktora Tomaszewskiego (wkrótce po prostu Władka) znałam – niestety, tylko jednostronnie – z uczelni, którą kończył chyba trzy lata przede mną. Był tam z wielu powodów rozpoznawalny i niezwykle popularny, także wśród młodszych roczników (głównie płci żeńskiej). Przyczyniło się do tego jego bliskie podobieństwo do wybitnego pianisty Adama Harasiewicza, laureata V Konkursu Chopinowskiego. Ponadto – jako jedyny student polonistyki – nosił wtedy „budrysówkę” (rodzaj wełnianej, długiej kurtki z kapturem, zapinanej na kołeczki ze skóry), taką samą, jak bohaterowie słynnego filmu francuskiego „Przed potopem” Cayette’a. Mówiąc bardziej serio – był wówczas najlepszym studentem, dumą i nadzieją prof. Pollaka (literatura staropolska), a to już była etykieta naprawdę rzucająca na kolana. I oto teraz okazywał się być moim szefem, chyba niezbyt zachwyconym perspektywą wprowadzania zupełnie zielonej „pomocy” w zawiłości adiustacji...

Ten pierwszy dzień to także pierwszy maszynopis. Pamiętam tylko, że był to artykuł prof. Józefa Burszty (etnografa), podsumowujący jakieś szczegółowe dociekania. Z mojej strony – całkowita zgroza. Jak w ogóle mogłabym się odnosić do profesorskiego produktu? Rozpaczliwie skupiłam się na przecinkach i modliłam o literówki. Po jakimś czasie Władek pracę przejrzał (neutralna życzliwość z leciutkim powiewem rezygnacji), a potem zaproponował wyprawę na „górkę” – do naszej Korekty, w celu dokonania stosownej prezentacji. No i tam, na poddaszu, opuściło mnie wreszcie uczucie całkowitej niemożności, wyobcowania, przytępienia. Dosłownie: stała się jasność. Bo przez małe okienka wpadało niespodziewanie dużo słońca, bo osoby, którym mnie przedstawiano były mnie ciekawe, bo czuło się, że mimo wszystko, jakoś na mnie liczą.

Tu już wszystko pamiętam bardzo wyraziście. Panią Magdalenę Staszewską (późniejszą p. Madzię) – starszą, godną osobę, jak zawsze, z maszynopisem w rękę, trzymanym wysoko, blisko okularów. Teraz przyglądała mi się dość sceptycznie, ale zarazem jakby pobłażliwie. Pan Mieczysław Au – wysoki i srebrnowłosy (pokoleniowo wyraźnie wyprzedzał panią Madzię) – z uszanowaniem pocałował mnie w rękę i witał życzliwym uśmiechem. Pan Bolesław Witkowski prawie na mnie nie spojrział, ale mruknął coś zachęcająco, że pracy starczy dla wszystkich. Przysięgłabym, że miał zarękawki. I tak zrobił dla mnie wyjątek, bo na ogół nie odrywał się od tekstu. Próbowалаm jakoś znaleźć się w sytuacji; odpowiadałam na pytania, Władek wyraźnie mnie wspierał... I wtedy otworzyły się drzwi, i – weszła p. Monika Dziarnowska. Piękna kobieta o sarnich oczach. Wraciała z miasta; niosła jakieś zakupy i wielki bukiet żółtych kwiatów. Słyszając, że jestem „tą nową”, takim serdecznym gestem oddała mi całe naręcze i życzyła, by było mi w „Przeglądzie” jak najlepiej. Tak oto znalazłam się w zespole.

Po tym pierwszym dniu nastąpiły kolejne i znów następne, a wraz z nimi stopniowe wrastanie w instytutową codzienność. Generalnie, owe czasy w „Przeglądzie” dzielą się w mej pamięci według kryterium związanego z miejscem akcji, a więc na „czas Wagi” i „czas domków budniczych”.

Waga to nade wszystko początki mej edukacji, ale także pierwsze nazwiska do mojego „słownika”. A zatem najpierw dr Antoni Władysław Walczak (to on przecież przyjmował mnie do pracy). Może dlatego, że zetknęłam się z nim w momencie dużego napięcia, jawi mi się mało wyraźnie jako obraz niedokończony. Kierował całym działem, co oprócz „PZ” oznaczało jego wersje obcojęzyczne: „Polish Western Affairs” i „La Pologne et l’Affaires Occidentales”, a także wydawnictwa zwarte. Zaglądał do nas rzadko, raczej wzywał Władka do siebie, a ten przekazywał później stanowisko „A-wu-wu” pozostałym pracownikom. Kontakt był więc okazjonalny, a szef – mimo jowialnego wyglądu i zdolny do serdecznych gestów – utrzymywał stosowny dystans. Zapamiętałam go przede wszystkim jako całkowicie pogrążonego w pracy. Kilkakrotnie, w jakichś rzadkich sytuacjach mniej oficjalnych, gdy tematem rozmowy stawały się wspólne wszystkim kłopoty dnia codziennego, mogłam zauważyć szczerą troskę, jaką „A-wu-wu” otaczał swoją rodzinę i jego głębokie do niej przywiązanie.

Nieporównanie wyraźniej przypominam sobie osobę dra Suchockiego, który odwiedzał wówczas siedzibę „Przeglądu” – nie wiem, czy kończąc jeszcze jakieś prace redakcyjne, czy też by spotkać się z Władkiem Tomaszewskim. Redaktora poprzedzała legenda kogoś, kto nigdy nie rezygnował z jakości, mistrza cyzelującego z uporem każdy tekst, zawsze zmierzającego do ideału, doprowadzającego do rozpaczy tych, odpowiedzialnych za terminy. Opowieści na temat wynikających stąd zawirowań urozmaicały pierwsze dni mojej obecności w Instytucie. Ale oto teraz widzę go za sprawą pamięci, jak zawsze, trochę nieśmiało, życzliwie uśmiechniętego, zajętego bądź jakimś maszynopisem, z piórem w ręce, bądź też pochłoniętego kolejną rozmową z Władkiem. Często byłam skrępowana tym, że Panom przeskadzam. Nie zawsze udawało mi się wymyślić wiarygodny powód wymarszu.

Dr Suchocki zwracał się do swojego młodego rozmówcy: „Panie Władysławie”, tonem przyjaznym, ale z wyczuwalną nutką szacunku. To „Władysławie”, z rozciągniętym „a...” i trochę pochylona głowa miały niwelować różnice lat i doświadczenia. Rozmowy dotyczyły zawsze spraw instytutowych: nie dość uzasadnionych tez autora „x” lub tematu bardzo ciekawie ujętego przez autora „y”. Niezmiernie rzadko dochodziło do jakiegokolwiek różnicy zdań. Radowało ich, że myślą podobnie, ale mogą się wesprzeć nową argumentacją albo przytoczyć tytuł, który umknął drugiemu. Robili to nie dla uzyskania absurdalnej przewagi, ale po to, by dopełnić obopólnej wiedzy. Myślę, że dr Suchocki przychodził i dlatego, by odczuć radość z faktu, że uczeń pod żadnym względem nie zawiódł oczekiwań i z nadatkiem spełnił pokładane nadzieje. Dodam nieśmiało, że i mnie – nieco później – udało się ucieszyć dra Suchockiego i nawiązać z nim coś na kształt wymiany zdań. Tematem chwilowo wspólnych zainteresowań nie okazały się jednak sprawy związane z rozwojem polskiej myśli zachodniej ani nowo ujawnione szczegóły z historii stosunków polsko-niemieckich, a kłopoty wynikające z desperacko podejmowanych przez nas w tym samym czasie prac budowlanych przy naszych domach. Wspólnym przedmiotem troski był niezbędny przy wykańczaniu czy remoncie dachu, lepiak. I tu okazałam się osobą bardziej doświadczoną i mogącą służyć radą. Bogu niech będą dzięki za tę niepowtarzalną okazję umożliwiającą mi moment zaistnienia.

Zanim jednak zaczęłam rozpoznawać autorów, przewijających się przez pomieszczenia Redakcji, oswajałam się z brzmieniem wielkich profesorskich nazwisk unoszących się gdzieś nad naszymi głowami. Ze zrozumiałych powodów najczęściej przywoływaną postacią był Ojciec Założyciel – Zygmunt Wojciechowski, ale często słuchałam także o Zdzisławie Kaczmarczyku, Michale Sczanieckim, Karolu Pospieszalskim... Z tym ostatnim dane mi było

jeszcze zetknąć się osobiście, gdy w poszukiwaniu jakichś danych zaglądał do Redakcji. Wbrew swej dramatycznej roli Rachmistrza Pomordowanych, Zmarłych i Zaginionych (to On m.in. przygotowywał dokumentację do Norymbergi), wydawał się człowiekiem pogodnym, przyjaznym, zdolnym nawet do krotochwilnego uśmiechu. Natomiast w zgodzie z nazwiskiem pozostawał w ustawicznym ruchu i zdążał ku kolejnym powinnościom i zamierzeniom.

W tym pierwszym okresie cały ciężar edukowania nowego pracownika Redakcji wziął na siebie Władek. Zaczął powoli, metodą kolejnych przybliżeń, od spraw podstawowych: celów statutowych Instytutu i jego tradycji, ale przede wszystkim od założeń i planów wydawniczych, obiegu materiałów redakcyjnych itp. itd. Warto sobie uświadomić, że były to czasy głęboko „przedkomputerowe”, a więc i składu ręcznego, że ważnymi etapami korekty było na przykład „czytanie na zgodność”, „czytanie na sens” itp. zjawiska, które wymagałyby obecnie szerszych wyjaśnień. Jedno wydaje się bezsporne: ówczesna rola korekty była znacznie większa, a droga maszynopisu – nieporównanie dłuższa i bardziej zawiła. Z przekazów Władka wyłaniała się także podstawowa umowność, związana z traktowaniem „Przeglądu” jako dwumiesięcznika. Naprawdę, nikt nie znał dnia ani godziny. Permanentny niedobór papieru i jakże wąte moce przerobowe drukarni (korzystaliśmy z Drukarni Uniwersyteckiej mieszczącej się w Collegium Maius, przy ul. Fredry, a sporadycznie – z Zakładów Graficznych im. Marcina Kasprzaka przy ul. Zwierzynieckiej) niweczyły wszelkie wysiłki zespołu. Zostawało tylko czekać. Próbowaliśmy zjednać sobie jakoś ową brać drukarską, która mogła w pewnym stopniu kierować ruchem... Okazały były święta, Dni Drukacza, Nowy Rok itp.

W Instytucie formowała się wtedy ekipa, która udawała się do drukarni na okolicznościową biesiadę, złożenie hołdów i życzeń. W żadnym wypadku nie chodziło o dary rzeczowe – pierwszorzędne znaczenie miała nasza obecność. Męczenników sprawy wybieraliśmy rotacyjnie. Wiem o czym mówię, bo po kilku latach wypadło i na mnie. Zdałam ów egzamin bez szwanku na honorze własnym i Instytucji. Władek rycersko odwiózł mnie potem do domu i oddał do rąk własnych mężowi. Ten zrewanżował się Władkowi, odprowadzając go do „Reniusi”. Nasze rodziny były już wówczas zaprzyjaźnione. Mieszkaliśmy wtedy paręset metrów od siebie, a Renia Tomaszewska pracowała w Archiwum Instytutu, pod cennym kierownictwem p. Zbigniewa Kulaka (znał odpowiedzi na wszystkie pytania i zawsze służył Redakcji pomocą), w kamienicy po drugiej stronie Rynku.

Rozziew między planowanym terminem wydania „Przeglądu” a rzeczywistością wiązał się też ze wspomnianą „sprawą papieru”. Corocznie, gdzieś w okolicach półrocza, zaczynaliśmy budować plany i określać zapotrzebowanie na rok następny. Zawsze z marginesem bezpieczeństwa, bo „a nuż obetną?”. Dokładnie określaliśmy klasę, rodzaj i gramaturę. Na ogół kończyło się tak samo: dostawaliśmy mocno opóźniony przydział; papieru było mniej, ale za to innego gatunku. Dostawcy preferowali tzw. biblijny (rodzaj cienkiego pergaminu, nieprzebijającego druku na drugą stronę), na który na próżno czekali wydawcy „Świętego Wojciecha”. Oni natomiast, później już bez zdumienia, stawali się beneficjentami naszych zamówień. No i w końcu zrozumieliśmy. Korzystając z prywatnych kanałów, we własnym zakresie zaczęliśmy ostrożnie dokonywać wymiany...

Ostatnim czynnikiem określającym stopień trudności, z jakimi borykała się Redakcja, ale przecież o najistotniejszym znaczeniu, była cenzura. Tu na pewno żarty się kończyły. Moge potwierdzić, że i w tej dziedzinie istniały jakieś kontakty. Rola „oswojonego” cenzora polegała na uprzedzaniu nas o randze i powodach ingerencji. W skrajnych przypadkach

autorowi groziło umieszczenie na czarnej liście, związane – na ogół – z zakazem publikacji. Trudno to wszystko oceniać z dzisiejszej perspektywy. Władek podejmował się wówczas negocjacji z autorem, szukając możliwego kompromisu, w myśl zasady: „ratować, ile się da”. Poza jedną, szczególnie bolesnych sytuacji nie pamiętam.

W tym kontekście, muszę przywołać nazwisko ówczesnego kierownika Zakładu Socjologii IZ dra Józefa Koniecznego. Do „Przeglądu” i do Władka przychodził rzadko, najczęściej informując, że ciągle jeszcze pracuje nad interesującym go tematem. Od dłuższego czasu zajmował się problematyką kinematografii niemieckiej, pozostającej na usługach ideologii hitlerowskiej. Kiedy już sądziliśmy, że Autor porzucił temat, dr Konieczny przyniósł nam obszerny artykuł, który czytaliśmy po kolei, z największym zainteresowaniem. Oboje szybko dostrzegliśmy nasuwające się wyraźnie analogie ze znanymi filmami, produkowanymi znacznie dalej na wschód, wystawiającymi inny system totalitarny. Nie dzieliliśmy się szerzej tymi spostrzeżeniami i kierowaliśmy pracę do kolejnych etapów produkcji, z nadzieją, że powołane do tego służby, niealarmowane nazwiskiem Autora, może przejdą „do porządku”. Niestety, kiedy tekst był już złożony i po wszystkich korektach, a na ostatnim wydruku brakowało tylko słynnej pieczętki, poznaliśmy nieoficjalne, ale twarde stanowisko cenzury. Liczba ingerencji, popartych groźnymi pomrukami, przekraczała wszystko, z czym się dotąd zetknęliśmy. Autor miał albo zrezygnować ze znacznej części swych wywodów, albo zgodzić się na zastąpienie własnych sformułowań „gotowcami”, o całkowicie odmiennej wymowie. Byłam w pokoju, gdy Władek, po wszelkich wyjaśnieniach i ostrożnym wyliczeniu sankcji grożących Autorowi, zapytał: „i cóż, panie Józefie? – Jaka jest pana decyzja?”. Usłyszałam jedno słowo, powiedziane, jak zawsze, bardzo spokojnie, ale z determinacją: „rozsytać” (czyli – zniszczyć). Był to w mojej praktyce jedyny wypadek, że Autor, a trzeba tu uwzględnić wszystkie okoliczności, nie poszedł na jakikolwiek kompromis. Nic więc dziwnego, że w mojej pamięci zajmuje miejsce szczególne. Kolejne jego rozprawy chronologicznie odnosiły się już do współczesnych zjawisk zachodzących w RFN...

Wszystkie zasygnalizowane wyżej problemy nie przesłaniały mi jednak tego, co najważniejsze: kontaktu z kadrami Instytutu i pracy z tekstem. W tym pierwszym okresie, a więc jeszcze w Wadze, wspólny pokój pozwalał mi – na ogół biernie – uczestniczyć w rozmowach Władka z jego gośćmi. Jerzy Kozeński i Jerzy Krasuski (późniejsi profesorowie) należeli już wówczas do czołówki naszych rodzimych Autorów. Pojawiali się w Redakcji bardzo wcześnie, ale zawsze osobno. Dopiero później dochodziło do „przypadkowego spotkania”. Byli w podobnym wieku, ich kariery naukowe na tym samym etapie, uprawiali dosyć zbliżone poletka. Pewna rywalizacja byłaby zjawiskiem raczej naturalnym. O temperaturze wzajemnych relacji przesądzały jednak różnice usposobienia i temperamentów. Jerzy Kozeński zachowywał niezmienny dystans wobec wszelkich podjazdów. Zawsze pogodny, w doskonałym wręcz humorze, korzystał z umiejętności błyskotliwej riposty, ale od czasu do czasu, jakimś rzuconym lekko żarcikiem dobrotliwie podpuszczał ambitnego kolegę. Ten natychmiast wytaczał wszystkie armaty... Po prostu m u s i a ł być lepszy, bardziej przekonujący, głębiej interpretujący fakty... Strasznie się zacierzwał. Władek spokojnie słuchał, delikatnie podpowiadał, wyciszał, przede wszystkim mając na uwadze najważniejsze: otrzymanie – zgodnie z planem – możliwie najciekawszych tekstów.

Wśród osób regularnie odwiedzających Redakcję był także doc. dr hab. Andrzej Kwilecki. I on wprowadzał Władka w postępy swej pracy na długo przedtem, zanim w formie



gotowego maszynopisu znalazła się na redakcyjnym biurku. Gość z zasady mówił cicho, spokojnie, ale z bliskim w oku i wyrazem twarzy sugerującym obecność fascynującej tajemnicy. Właśnie teraz objawionej jednemu rozmówcy, który na to zasłużył. Tym dialogom zawsze towarzyszyła obopólna radość. Panowie rozumieli się w pół słowa, delectowali zbieżnością wniosków końcowych.

Dla mnie wszakże – po tylu latach – prof. Kwilecki (którego tyle publikacji zdążyłam później przeczytać) nade wszystko pozostanie „Autorem 'od Łemków'”. Oczywiście, za sprawą Władka, który z takim podziwem i tak sugestywnie opowiadał mi o owej ryzykownej „obserwacji uczestniczącej”, prowadzonej przez młodego socjologa wśród nieszczęsnych Łemków, przesiedlonych tuż po wojnie gdzieś na Ziemię Odzyskane.

Zdecydowanie niezwykłą osobowością był w Instytucie Restytut Staniewicz. Pojawiał się w Redakcji zaraz po przyjeździe do pracy, nie wcześniej jednak niż w godzinach południowych. Nierzadko zajeżdżał wówczas taksówką, na którą często „brakowało mu drobnych” (dobrzy ludzie ratowali w potrzebie), potem dostojnym krokiem udawał się w obchód, na ogół zahaczający o Redakcję. Trudno nie pamiętać, że palił fajkę, z tytoniem raczej wykluczającym dłuższy kontakt z owym palaczem. Jego rozmówcy z konieczności się zmieniali, stąd też nierzadko na krótko zastępowała Władka. Pan Staniewicz (imię Restytut nadano mu dla upamiętnienia odzyskania przez Polskę niepodległości) był człowiekiem niezmiernie wiedzny – w Instytucie specjalizował się w problematyce mniejszości niemieckiej w Polsce, ale jego zainteresowania w dużym stopniu odnosiły się też do Września 1939 r. Wiedział wszystko, co dotyczyło polskich sił zbrojnych. Kiedyś, podczas wycieczki Instytutu w Góry Świętokrzyskie, opowiadał mi o przebiegu walk z udziałem jakiejś kompanii. Schodziliśmy ze Świętego Krzyża do Słupii Nowej. Zapamiętałam tę relację przekazywaną z dokładnością do pojedynczego żołnierza i pojedynczego krzaczka. Problem sprowadzał się do tego, że cała ta rozległa wiedza była prywatną sprawą p. Restytuta, który niechętnie utrzymywał cokolwiek na piśmie. Zwierzchnikom opadały ręce... Wreszcie sytuacja dojrzała. Rozprawa na łamach „Przeglądu” mogła przesądzić o „być albo nie być” p. Staniewicza. Władek przystąpił do egzekwowania zamówionego artykułu. Zmagania trwały bez końca – ostatecznie oboje wydzielaliśmy Autorowi dosłownie strona po stronie. Ale warto było. Jakiś czas później zostaliśmy przez wdzięcznego Autora zaproszeni na okolicznościową kolację do „Merkurego”. Szczodry Autor zaczął od przepiórek, a potem było już tylko podbijanie bębenka. Opis biesiady wymagałby innych łamów i obfitego materiału zdjęciowego. Zgodnie z naszymi przewidywaniami znów komuś „zabrakło drobnych”. Czuliśmy się potem z Władkiem jak kombatanci połączeni wspomnieniem heroicznych zmagania, z których jednak uszliśmy cało...

Częstym gościem w Redakcji – jeszcze wówczas w Wadze – był Tadeusz Wróblewski. Pamiętałam go dobrze z Uczelni – studiował slawistykę dwa czy trzy lata przede mną. Na ogół widywałam go wówczas w towarzystwie brata bliźniaka. Ich uderzające podobieństwo skutkowało mnogością opowiadań o tym, jak może ono skomplikować, albo – przeciwnie – ułatwić życie. W IZ specjalizował się w problematyce słowiańskiej. Znał języki, w tym bardzo dobrze francuski, należał do tych, co czytają wszystko i ciągle. Pojawienie się Tadeusza w pokoju „Przeglądu” – poza sprawami ściśle zawodowymi – wiązało się zawsze z wrażeniem ruchu i zapowiadało niezwykle wydarzenia. Przede wszystkim nasz rozmówca był zawsze znakomicie poinformowany. Wynikało to zapewne nie tyle z dostępu do źródeł, ale z błyskotliwej umiejętności kojarzenia i w nadzwyczajny sposób nabierało cech sensacji.

Dla mnie Tadeusz był kimś w rodzaju „gońca królewskiego”, który skutecznie przeciwdziałał każdej groźbie monotonii. To on między innymi (też jeszcze „na dole”) obwieścił nie lada wydarzenie: do Zakładu Badania Zbrodni Hitlerowskich (pracowników zwaliśmy ciepłutko „zbrodniarzami”) przybywała Nowa. Z opisu Tadzia wyłaniała się śliczna, bystra dziewczyna, świeża absolwentka Wydziału Historii. Pamiętam też, jak pierwszych entuzjastów Tadzio przestrzegał: „Małe szanse – ona ma chłopaka po Politechnice, a on z kolei jeździ na skuterze”. Ta ostatnia wiadomość robiła wówczas niebывале wrażenie. Przybycie Majki, wtedy jeszcze Muszyńskiej, późniejszej profesor Marii Rutowskiej, zapowiadało lub wpisywało się w czytelny zamysł „odmłodzenia” Instytutu. Listę pracowników poszerzyły wtedy takie nazwiska, jak Zbigniew Mazur, Marek Baumgart (dość wcześnie przeniósł się do Szczecina), Krystyna Sikorska (potem Dziegielewska), Zbigniew Jaśkiewicz.

Pierwszym reprezentantem „nowej fali” w Instytucie był obecny prof. Zbigniew Mazur. Zaczynał jeszcze „na górze”, gdzie w oczekiwaniu na lepszy przydział wspomagał Korektę. Z pewnością ujmował uprzejmym spokojem i starannym wypełnianiem przypisanych mu tymczasowo obowiązków, ja natomiast zapamiętałam go głównie – co raczej zaskakiwało w odniesieniu do „nowego” – jako osobę często w ogólnych rozmowach zgłaszającą zdanie odrębne. Powiało jakąś świeżością i przesunięciem akcentów z tego „co było”, na to „co jest”, ale przede wszystkim na to, „co będzie”.

W tak zwanym międzyczasie na „górze” nastąpiły zmiany. Dotyczyły głównie składu osobowego. Pierwszy – jak się zdaje – opuścił Korektę p. Witkowski – człowiek o nieprawdopodobnej pamięci. Miał w głowie wszystkie słowniki. Pracował w jakimś ponurym zaciętrzewieniu, tropiąc ewentualne potknięcia poprzedników. Nie pamiętam, kiedy odszedł z „Przeglądu” pan Au. Był dla nas Ostatnim Mohikaninem przedwojennego świata, ucieleśnieniem naturalnej elegancji, człowiekiem rozległej wiedzy i kultury. Był również przykładem szczególnej – niezwiązanej ze statutem – działalności Instytutu, której mogliśmy się tylko domyślać, natrafiając wśród pracowników na takie nazwiska, jak – powiedzmy – Krystyna Narutowicz, Restytut Staniewicz... Zatrudniani na różnorodnych etatach, trochę wycofani z pierwszego planu, wszyscy ci ludzie mieli bezpiecznie przetrwać czas niebezpieczny.

Tymczasem zapowiedź istotnych zmian odnosiła się do naszej lokalizacji. Opuszczaliśmy Wagę i przenosiliśmy się do „domków budniczych”. Rozstając się z Wagą, chciałabym jednak zatrzymać się jeszcze przy ludziach i sprawach, którzy w mojej pamięci są z nią nierozłącznie związani. Bezwzględnie na plan pierwszy wysuwa się tu (co z każdego punktu widzenia jest po prostu oczywiste) kobieta-instytucja, p. Halina Całkowa. To przez jej pokój wchodziło się dotąd do Redakcji „Przeglądu”. Wydaje mi się, że była związana z Instytutem „od zawsze”, tj. od czasów warszawskich. Na podstawie jej fragmentarycznych wypowiedzi odniosłam wrażenie, że „złotym okresem” instytutowym i dla Niej osobiście, i dla pozostałych osób funkcjonujących w orbicie firmy, był „czas Osiecznej”. Tym bardziej cieszę się, że tamten okres został ocalony od zapomnienia i stał się przedmiotem odrębnego opisu.

O ile dobrze pamiętam, pani Halina oficjalnie pełniła funkcję intendenta. W rzeczywistości sprawowała niekwestionowaną (na szczęście) cywilną władzę absolutną. Mocno zaangażowana w przedwojenne harcerstwo, wojenna wdowa po młodym działaczu społecznym i ekonomiście, rozstrzelanym w Warszawie w pierwszych dniach powstania, matka odwiedzającej nas często, bliskiej nam pokoleniowo Marylki (obie panie mieszkały w sąsied-

nich domkach budniczych), postawiła sobie za cel stworzenie z Instytutu Zachodniego domu – wszystkim, którzy swoje utracili, którzy potrzebowali wspólnych posiłków, znajomych twarzy, poczucia swojskości, bezpieczeństwa i od czasu do czasu oddechu „z przytupem”. Prywatnie przypisuję Jej następujące rozumowanie: „Jeżeli naprawdę poznasz swój kraj – żaden inny cię nie uwiedzie”. Ten kanon ściśle określonych potrzeb pani Całkowa realizowała z niewyobrażalną energią i skutecznością. Dbając o zewnętrzny wizerunek instytucji, organizowała Walne Zgromadzenia (o których potem z podziwem opowiadano jak Polska długa i szeroka), doroczne bale sylwestrowe w pałacu Działyńskich miały przypominać te z minionych czasów, zarządzała cieszącą się bardzo dobrą sławą stołówką, gromadzącą zarówno pracowników IZ, jak i godne nazwiska z okolicznych instytucji, ale nade wszystko wymyśliła i realizowała słynne doroczne wycieczki Instytutu Zachodniego po ziemi ojczystej (wyczekiwane, przygotowywane, urozmaicane specjalnymi znaleziskami). Osobiście traktuję je jako bardzo cenną część tego dobra, w które wyposażył mnie Instytut na samodzielne życie. Gdyby nie p. Całkowa, zapewne nigdy w pewien pogodny dzień nie wyglądałabym ze wzgórz Przemyśla zarysów Lwowa rysujących się gdzieś na horyzoncie albo tylko wymaginionych; nie kuliłabym się w trwodze w późnowieczornej scenerii zamkowych ruin Krzysztopora, gdy spłoszone przez poznańskich przybyszów wrony stadnie odlatywały w noc, nie wzruszałabym się prostotą i niepowtarzalną aurą drewnianego kościółka w Dębnie, i tak dalej, i tak dalej...

Pani Halina wiąże się w moich wspomnieniach z jeszcze jedną dziedziną aktywności. Dbła o godny i zauważalny udział Instytutu w częstych – niestety – i bolesnych „ostatnich pożegnaniach”. Lista pracowników IZ i osób z nim związanych, które w tej „mojej” dekadzie odeszły do lepszego świata, jest zastanawiająca i nie ogranicza się wcale do „dostojnych starców”. Pani Halina dbała, by w owych smutnych okolicznościach wyraziście reprezentowana była instytutowa młodzież, by zostali świadkowie, których wspomnienia zamienią się w opowieści, a te – oby trwały jak najdłużej...

Obraz funkcjonowania Wydawnictwa IZ byłby niepełny bez przywołania postaci obu naszych magazynierów: p. Małeckiego i p. Rotha, zwanego z poznańska Wują Rothem. Pan Małecki przemyka przez moje wspomnienia, jak zawsze, w pośpiechu, przeskakując po kilka stopni, na ogół z jakimiś tomami pod pachą, liczący co przyszło, a co wychodzi, na ogół z przepaszającym, lecz życzliwym uśmiechem, i zawsze z resztą tłącego się papierosa. „Wuja” Roth, władza najwyższa Magazynu, ale też człowiek-orkiestra, zawsze ratujący z najróżniejszych opresji, działał wg zasady: porządek musi być, zachowywał powagę stosowaną do tego przesłania i dystans zaprawiony nieufnością. Dotyczyła ona głównie „tych młodych”, z którymi „nigdy nic nie wiadomo”. Mówił mało i tylko z wybranymi. Poprawę naszych relacji przyniósł udział w instytutowych wycieczkach, lata starań o złagodzenie wstępnych opinii, no i pewnie rekomendacja Władka, którego Wuję Roth po prostu uwielbiał. Doszło do tego, że my z „Przeglądu” pod koniec lata byliśmy każdorazowo zapraszani przez Wuję (w tym wypadku wyprawom przewodniczyła p. Janka – zob. niżej) do Jego ogrodu w Szczepankowie na wielki zbiór mirabelek, z których potem powstawały nieprzebrane zapasy konfitur. Małe, żółte kuleczki stały się symbolem naszej przyjaźni. Nikomu z nas nie przyszło wówczas do głowy, że po latach, w zgoła innych okolicznościach, mirabelki jako takie będą argumentem w sporach politycznych...

Tak oto konfitury z udziałem pana Rotha doprowadziły nas do „Przeglądowych” spraw bytowych. Wszyscy wiedzą: czasy były trudne, a po roku 1970 robiły się coraz trudniejsze.

Procesowi temu towarzyszyły zjawiska równoległe: utrwalała się nasza zdolność do gry zespołowej i wspólnego niwelowania kłopotów, a także kielkowały takie sportowe zacięcie, aby się nie dać, żyć, jak gdyby nigdy nic. Polem wszelkich możliwości były każdorazowo święta. Stało się zasadą, że choćby nie wiem co, odbędą się zgodnie z tradycją. Jak Boże Narodzenie, to ryby, jak Wielkanoc to szynka, mięsa i kiełbasy. W tej pierwszej sprawie nie do przecenienia zasługi przypadły delikatnej, stworzonej do luksusowego życia p. Monice. Jej mąż pełnił ważną funkcję w zarządzie PGR-ów i tę wielką pulę ryb przedniego gatunku, przeznaczoną dla pracowników tychże gospodarstw, corocznie jakoś cudownie powiększał, stosownie do potrzeb Instytutowych. Czekaliśmy na te ryby godzinami, przy jakichś wejściach od tyłu, na jakichś podłych podwórkach, w karnych kolejkach, ale i z nadzieją, że wreszcie przyjadą, że starczy dla wszystkich, że i tym razem się uda. „Po Instytucie” nigdy już nie jadłam takich cudownych karpi. I pora na autoreklamę. Informuję, że krótko, bo krótko, ale przecież byłam wybranym przez zespół Prezesem Spółdzielni „Wieprzek”, powołanej do jednego tylko celu – zakupienia tytułowego żywca, zwerbowania odpowiedniej klasy rzeźnika i zaopatrzenia w satysfakcjonujące racje świąteczne pracowników Wydawnictwa. Obowiązywał już wówczas bezwzględny zakaz podobnych zakupów, więc zadanie nie było najłatwiejsze. Mężem opatrnościowym okazał się murarz, pracujący przy naszym domu, mieszkający w jakiejś wsi pod Kołem. Wziął na siebie całą sprawę, łącznie ze świadectwem sanitarnym i wysoką jakością wyrobów, nie chciał się tylko podjąć transportu. Tak oto Prezes Spółdzielni wraz z małżonką (tylko my mieliśmy wówczas samochód) przewieźli któreś nocy wysłużonym trabantem ponad sto kilogramów mięsa wieprzowego i jego przetworów. Wdzięczni spółdzielcy podziękowali mi na piśmie (przechowywane w zbiorach prywatnych).

Takie to były Polaków zabawy w owe lata.

Po przeprowadzce do domków budniczych przybyło nam przestrzeni, a ubyło wędrówek, bo wszystkie nasze agendy mieściły się teraz na jednej kondygnacji. Tylko dwa pokoje na lewo od klatki schodowej zajmował na „naszym pierwszym piętrze” Zakład Badania Zbrodni Hitlerowskich, dowodzony wówczas przez dra Edwarda Serwańskiego, z p. Barbarą Bojarską i wspomnianą już „nową” – Majką Muszyńską. Co do Majki – przepraszam, teraz prof. Rutowskiej, wszystkie zapowiedzi Tadeusza znalazły potwierdzenie. Zwraçała uwagę urodą, wdziękiem i dużym wycuciem stylu, panowie zawsze „pozostawali pod wrażeniem”. Z jej napomnień można było wnioskować o mocnych związkach łączących ją z całą rozbudowaną rodziną, która stanowiła jej twierdzę. Była serdeczna i skłonna do śmiechu, ale utrzymująca dystans. Należała do osób mocno zaangażowanych w sprawy zawodowe i świadomych swoich celów. Spotkanie z Majką – po przeniesieniu do „domków” – szybko rozwinęło się w bliskie koleżeństwo, a z czasem przyjaźń, którą mimo upływających dziesięcioleci utrzymujemy także obecnie. Ciągłe jeszcze wystarcza nam instytutowych wspomnień, by nasze spotkania urozmaicać śmiechem.

Już „po Majce”, a więc po przeprowadzce do domków budniczych, pojawiła się w moim pokoju inna młoda autorka. Mówiła cicho, ale rzeczowo, słuchała bardzo uważnie, pamiętam skupione spojrzenie niezwykle ciemnych oczu. Nazywała się Anna Wolff-Powęska... W najlepszej wierze, czerpiąc już z moich dotychczasowych instytutowych doświadczeń, utrwalałam nauki na różnych kursach i szkoleniach, pozwalałam sobie na pewne sugestie dotyczące konstrukcji proponowanego artykułu... No cóż, późniejsza pani profesor, dyrektor Instytutu, wielokrotnie nagradzana za swoje publikacje, okazała się być osobą wielkoduszną.

Nasze przyjazne kontakty przetrwały wszystkie moje zmiany pracy i adresów. I mam nadzieję, że tak pozostanie.

Mój pierwszy osobny, wygodny i zaciszny pokój w „domkach” zamieniłam potem na nowe lokum, wyodrębnione naprzeciw schodów. Duże pomieszczenie na końcu lewego skrzydła zajmowała nasza Korekta. Reprezentacyjny, centralnie położony gabinet, nareszcie pozostający w jakiejś proporcji do rangi szefa, zajmował Władek Tomaszewski (doc. dr Walczak przeszedł do Zakładu Historii). Prawe skrzydło – to była domena wydawnictw zwartych i obu periodyków obcojęzycznych. Redakcją, z której pamiętam p. Teresę Otto i p. Wandę Dzwonkowską (potem tu także nastąpiły zmiany), zarządzała nad wyraz energicznie red. Maria Morkowska (z czasem po prostu „Myszka”). Była osobą niezwykle ruchliwą i niedającą się nie zauważyć. W żadnym wypadku nie mogę jej pominąć, bo też jej skuteczność i poziom energii wyrastał znacznie ponad średnią krajową. Mimo że między „Przeglądem” a „zwartymi” dochodziło do zrozumiałej rywalizacji (polem nieustających zmagani była walka o papier i o kolejność wykonywania zamówień przez drukarnię), oba zespoły łączyło coś na kształt solidarności (słowo to nie było jeszcze w powszechnym użyciu) w nieszczęściu, a przynajmniej zrozumienie dla jego ewentualnych skutków. Myszka była niewysoką, drobną brunetką w średnim wieku, o bardzo czarnych oczach. Cechowała ją niezwykła spostrzegawczość. Nade wszystko jednak los obdarzył ją stałą gotowością wątplenia i potrzebą nieustającej weryfikacji. Obojętnie, jaki był temat rozmowy, jaka ranga twierdzeń, gdy dana osoba rzucała na szalę główny argument i przechodziła do wniosków końcowych, rozlegało się charakterystyczne: „zahraz, zahraz” Myszki, a zaczynało rozkładanie problemu na czynniki pierwsze. Zapewne dlatego i teraz nie jestem wolna od niepokoju, czy na pewno wszystko w mojej relacji dałoby się potwierdzić materiałami dowodowymi.

Od początku z zespołem naszej korekty łączyły mnie najściślejsze kontakty, wynikające choćby z zakresu obowiązków... Z czasem, utrwały się także oczywiste nici sympatii, a nawet swoistego „powinowactwa”, mające źródła w tradycji, upodobaniach, niektórych wątkach biografii itp. Obie panie: Magdalena Staszewska i Monika Dziarnowska, reprezentowały generacje przedwojenne, ale dzieliła je znaczna różnica wieku. Pani Madzia – poprzez osobę swojego nieżyjącego męża (jeszcze jedna wojenna wdowa) związana była ze środowiskiem uniwersyteckim Poznania, ale wojnę – o ile dobrze kojarzę – przeżyła w Warszawie. O przeszłości mówiła b. ogólnie i ostrożnie, generalnie wydawała się osobą raczej nieufną (w tamtych czasach było to dość powszechne). Chętniej eksponowała swój udział w bieżącym życiu towarzyskim, któremu blasku przydawały pierwszoplanowe nazwiska profesorskie. Ciepłą stroną swej osobowości ujawniała dosyć rzadko, przeważnie w kontekście opowiadań o swoim jedynym, dorosłym już, synu. A przecież, wspominając panią Staszewską, lokuję ją bez wahania wśród osób zasługujących na pamięć serdeczną. Była bardzo dzielną osobą, lekceważącą narastające problemy zdrowotne, nigdy się nie skarżyła i nie wymagała żadnych względów wynikających z przynależności do określonej grupy wiekowej. Była kompetentnym korektorem o bardzo wyrobionej pamięci wzrokowej. Trochę trwało, zanim zaakceptowała moją obecność w Redakcji, ale gdy to nastąpiło, p. Madzia dała się poznać jako osoba trwale życzliwa, o niespodziewanym poczuciu humoru. Będę ją pamiętała właśnie w takim kontekście. Niezawinione przestoje w naszej pracy wypełniałyśmy na różne, także „nieredakcyjne” sposoby. Kiedyś, niezastąpiona p. Janka dokonywała na p. Madzi w roli manekina jakichś poprawek krawieckich. Była to faza

poprzedzająca prawidłowe wszycie rękawa do jej sukienki i pani Madzia pozostała tylko w jednym. Ten moment wybrał ówczesny dyrektor Instytutu (prof. Trzeciakowski) na składanie życzeń z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych, i wraz z godną asystą wkroczył na redakcyjne pokoje. Trzeba było widzieć p. Madzię, jak niespieszona, wyciągała to gołe ramię w kierunku Dyrektora, mówiąc z godnością i wdziękiem: „dziękuję i odwzajemniam”.

Pani Monika Dziarnowska okazała się dokładnie taka, jak podczas pierwszego spotkania „na górze”. Wszystko w niej było harmonijne, cieszyło oko i w naturalny sposób łagodziło obyczaje. To, jakim hołdowała gustom, jakie zachowania budziły jej protest, rzutowało zawsze na atmosferę otoczenia. Radosne reakcje Władka wywoływały na przykład moje sprawozdania dotyczące aktualnych lektur, którymi się dzieliłam podczas przerw śniadaniowych. Gdy natrafiałam na wątki, które mogłyby uchodzić za drastyczne, ze względu na panią Monikę posługiwałam się taką trochę „zeufemizowaną” formą narracji. Władek zawsze wyłapywał te moje starania i chętnie „sprzedawał” dalej wciąż nowym słuchaczom.

Koniecznym należy dodać, że niezależnie od surowych kryteriów estetycznych, pani Monika była osobą bardzo otwartą, nigdy nieutyskującą na „dzisiejszą młodzież”, ciekawą zarówno wszelkich aktualności, jak i prognoz na przyszłość. W późniejszych czasach wykazała zrozumienie dla mojej potrzeby zmian i wyglądu tego, „co za zakretem”, a nawet sprzyjała moim decyzjom.

O powodach zakłóceń w realizacji naszych planów wydawniczych, przestojach i zadyszkach już wspominałam. Było oczywiste, że opóźnienia w napływie tekstów wykorzystywałam przede wszystkim zasilając Korektę, za czym zresztą przepadałam (czytało się głośno, parami, na zmianę). Niedające się jednak załatać przestoje wypełniano na różne sposoby. Najczęściej przybierały one postać niekończących się dyskusji, których zaczynem były albo opracowywane właśnie teksty, albo zaliczone ostatnio lektury, które okazały się naturalnym spoiwem wszelkich spotkań. Na ogół każda książka zakwalifikowana jako godna zainteresowania, krążyła wśród nas obiegami. Jej ruch pozostawał pod stałą kontrolą tych oczekujących, aż wreszcie wszyscy byliśmy gotowi i zaczynał się czas budowania zbiorowej recenzji. Tytułem, który zawsze będzie mi się kojarzył z „Przeglądem” i tym pokojem „na lewo”, z wrażeniem prawie rodzinnej wspólnoty, książką, która skutecznie odrywała nas od rzeczywistości, był *Koniec świata szwależerów* Mariana Brandysa. Podczas mojej niedawnej kolejnej przeprowadzki, przygotowując swój księgozbiór do drogi, natknęłam się na mocno „wycytane” tomy. Wystarczyło dotknąć jednego z nich i... wszystko wróciło – jasny pokój z dwoma biurkami, kaloryfer przy wejściu, o który lubił opierać się Władek, p. Monika, tak ładnie ożywiona, z determinacją włączająca się do dyskusji, p. Madzia dorzucająca własne argumenty, z których przynajmniej jeden musiał zaprzeczać wcześniejszym opiniom, i wreszcie p. Janka, oceniająca sprawę z zupełnie odmiennych pozycji.

Pani Janka Szymańska była późniejszym nabytkiem Instytutu, pamiętam ją wyłącznie z domków budniczych. Na instytutowym gruncie wydawała się bytem nieco odrębnym. Przede wszystkim Jej rodzinne korzenie sięgały gdzieś kresów wschodnich. Należała do pokolenia, które żegnało się z dzieciństwem w przededniu wojny. Późniejsze wydarzenia wspominała rzadko i trochę niespójnie. Przypominam sobie rwane miniopowieści o bracie, który utknął w kopalniach Donbasu, o tym, jak obawiając się rzezi, ukrywano dzieci w ogrodowych zaroślach, o siostrze, która jakoś znalazła się w Belgii itp. Jej bieżących kłopotów można się było tylko domyślać. Wypowiedzi p. Janki na inne tematy wydawały się

w naszym gronie raczej osobliwe, dziś przypisano by je może do pojęcia poprawności politycznej. A mimo to stała się trwałym elementem zespołu. Stojąca mocno na ziemi, dysponująca imponującym zasobem tzw. wiadomości praktycznych, doskonale znająca pracę korekty – przygotowywana do zawodu w warunkach prasy codziennej – umiała wykorzystać do końca każdą sekundę. Bardzo ją lubiłam i nasze kontakty przekraczały niekiedy ramy ściśle zawodowe: od czasu do czasu pani Janka dotrzymywała nam towarzystwa w jakichś wycieczkach rodzinnych. Cechowała ją ujmująca ciekawość świata i niespożyta pomysłowość w pokonywaniu codziennych kłopotów.

Było bardzo ciepło, bardzo rodzinnie i bardzo bezpiecznie...

Nastąpił wszakże czas, że to wszystko przestało wystarczać, ba, zaczęło uwierać. Nie umiem określić, kiedy dotarła do mnie myśl, że także gdzie indziej toczy się jakieś życie, warte mojego w nim udziału, że tak bardzo wrosłam w redakcyjno-instytutowe koleiny, że nie będę już umiała postawić żadnego samodzielnego kroku, a zatem przyszedł czas na zmiany. Jeżeli nie teraz, to już nigdy „nie wybiję się na niepodległość” – zostanę z „Przeglądem” na zawsze. Każdy powód mógł tylko ułatwić decyzję. Nie miałam żadnych konkretnych planów, żadnego punktu zaczepienia. A jednak 31 stycznia 1977 r. rozstałam się z Redakcją, z Instytutem, z pokojem na piętrze i tymi wszystkimi ludźmi, którzy z wielu powodów, w czasie zawodowego dorastania stali mi się bardzo bliscy. Potem w moim życiu nastąpiło gwałtowne przyspieszenie, czyli sześć lat w Wydziale Prasowym Międzynarodowych Targów Poznańskich, gdzie spotkałam innych ciekawych ludzi, nowe sprawy, nowe możliwości rozwoju, ale i szanse wykorzystania wielu nauk pobranych w czasach „Przeglądu”. Ale to już zupełnie inna historia.

Moje instytutowe kontakty się rozluźniły, a drogi z czasem rozeszły. Praca w Zarządzie Targów z trudem pozwalała złapać oddech. Były jeszcze jakieś okolicznościowe spotkania, jakaś uroczysta wizyta całej Redakcji w naszym domu „na Bajkowym”... Potem zaczęły się moje długie podróże, a potem, podczas któregoś z powrotów do Poznania, byłam na pogrzebie Władka. Miał pięćdziesiąt lat, gdy jego serce po prostu się zatrzymało.

W tym miejscu chciałabym jeszcze dodać kilka słów o moim szefie – których o nim nie powiedziano i nie napisano. Chcę tylko, aby i On miał swój udział w jubileuszu „Przeglądu”. Władek był wrażliwym, wybitnie uzdolnionym człowiekiem, którego los obdarzył znakomitym punktem startu. A potem wydarzyło się nieszczęście (był uczestnikiem wypadku na Jeziorze Kórnickim – utopiło się wówczas kilku jego przyjaciół), które – jak sądzę – „przetraściło” Go na resztę życia. Miał świetne pióro, ale pisał mało i niechętnie (raczej tylko „do szuflady”) – wolał inspirować innych. Umiał i lubił słuchać. Należał to tych miłośników książek, co to czytają rano, wieczór, we dnie, w nocy. Łatwo Go było zranić, ale nie czuł potrzeby rewanżu. Mając nieprzeciętne możliwości – wiele walk oddawał walkowerem. Brał wszystko na siebie i tylko coraz rzadziej śmiał się razem z nami. „Przegląd” zawdzięcza mu wiele...

Wracając do „Przeglądu”. Oczywiście, były to „moje uniwersytety”. Sama tylko uważna lektura wszystkich tekstów, nad którymi pracowałam, stała koniecznością sięgania do źródeł, potrzeba ciągłej weryfikacji, osvajanie się z zasadą bezwzględnego uszanowania nadrzędnych uprawnień Autora – wszystko to każdego dnia dopisywało mi nowe aktywa. Obcowanie z gronem naszych czcigodnych autorów, ale także z bojowym narybkiem skutkowało pozostawaniem w aktualnym nurcie wydarzeń. Zdążyłam też – z aprobatą Władka – ukończyć roczny kurs dla redaktorów technicznych w Warszawie, co później dawało mi

przynajmniej równe szanse w dyskusjach z drukarzami, jako wolny słuchacz mogłam uczęszczać na niektóre seminaria prof. Pajewskiego, sama (też z inspiracji Władka) zajęłam się działalnością przedwojennego Instytutu Zachodniosłowiańskiego w Poznaniu, którą potem opisałam w „Przeglądzie”, od czasu do czasu sporządzałam jakieś notki, recenzje itp.

Bardzo pouczającym zajęciem było uczestniczenie w posiedzeniach Kolegium Redakcyjnego, któremu przewodniczył wówczas prof. Gerard Labuda, niegdyś także dyrektor Instytutu. Byłam protokolantem, a uczestnikami – ważne postaci ze świata polskiej humanistyki, dla których owe spotkania w Poznaniu były okazją do wystąpień nie zawsze uwzględniających ówczesne realia, pozostających często w sferze pobożnych życzeń, niekiedy chaotyczne i mające luźny związek z profilem „Przeglądu”. Wywoływały zatroskanie red. Walczaka, a później Władka, moje rozpaczliwe poszukiwanie porządkującego wspólnego mianownika i cierpliwe milczenie Przewodniczącego. Kiedy głos ostatniego mówcy zamierał, Profesor nagle się ożywił i dokonywał cudownej rekapitulacji. Wszystko stawało się oczywiste i znajdowało swoje miejsce. Ziarna uwzględniano i przygotowywano im glebę, niezauważone plewy obumierały. Pozostawało mi tylko możliwie skrupulatnie zmierzać wytyczonym tropem. Posiedzenie było skończone.

Pamiętając o wymogach samodyscypliny, także zmierzam ku zakończeniu. Korzystając wszakże z jubileuszowych okoliczności, chciałabym i ja złożyć „Przeglądowi” życzenia. Niech nadal hołubi czytelników reprezentujących różne opcje i zainteresowania, skłaniając do refleksji i dialogu. Niech odsłania to, co nie zawsze na pierwszy rzut oka widoczne. Niech zaspokaja ciekawość tych „już wtajemniczonych”. Po prostu – niech On i Jego Redakcja mają się dobrze!

MAŁGORZATA WALLER

## MÓJ DRUGI DOM

Instytut Zachodni stał się moim drugim domem na 35 lat (1957-1992). Kto przychodził do Instytutu, a sprawdził się zawodowo, koleżeńsko i chciał pozostać, mógł być pewien, że doczeka tu emerytury. Zastawał ludzi znających się od kilku, kilkunastu lat, tworzących atmosferę życzliwości i serdeczności. Nie było żadnej wrogości ani zagrożenia, dlatego wchodziło się do budynku przy ul. Chełmońskiego jak do bardzo gościnnego domu. Nikt nie czuł się obco, był przedstawiany w każdym zakładzie przez dyrektora administracyjnego dra Michała Pollaka. Potem, niestety, wszystko się zmieniło, gdy stara kadra instytutowa z różnych powodów, także politycznych, powoli topniała. W Dziale Wydawniczym duch ten pozostał do końca kierowania nim przez redaktora naczelnego Władysława Tomaszewskiego, do 1986 r.

Zaczęłam pracę, gdy Instytut miał swoją pierwszą siedzibę na II i III piętrze dużej kamienicy przy ul. Chełmońskiego 1 na poznańskim Łazarzu. Pracownicy byli rozmieszczeni w mniejszych lub większych pokojach razem ze zbiorami bibliotecznymi, na które nie wygospodarowano już osobnego pomieszczenia. Trafiłam pod skrzydła pana Mariana Pachuckiego, wytrawnego redaktora z Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha. Budził we



mnie respekt swoją wiedzą i praktyką, a że nie był zbyt rozmowny, więc skupialiśmy się na szczytywaniu maszynopisów ze złożonym na szpaltach tekstem. W przerwie pracy było karmienie ptaków za oknem, bo pan Marian, zwany zdrobniale Pachcio, miał dwie słabości: książki i ptaki. Nie można było wówczas kupić gotowego pokarmu, więc Pachcio tłukł suche bułki słoikiem po dżemie. Kiedyś ten wysiłek został doceniony i na okno przyleciały kolorowe gile.

W 1959 r. Instytut przeniósł się na Stary Rynek do odbudowanej Wagi Miejskiej. W obecnej sali ślubów postawiono przepierzenia dla pomieszczeń pracowników naukowych, parter zajmowała dyrekcja, sekretariat i księgowość, a Dział Wydawniczy powędrował do małych pokoików na poddaszu, aby po niedługim czasie zając na parterze przybudówkę od strony ratusza, nazywaną przez nas stajenką – obecnie jest to restauracja Przy Bamberce.

Z tamtego okresu upamiętnił mi się z Działu Wydawniczego pan Mieczysław Au, nienaganny w zachowaniu i stroju, zawsze w muszce, w którą była wpięta ozdobna szpilka. Pan Au chodził do kinematografu, nie do kina. Idąc z miasta do pracy na Stary Rynek, oglądał po drodze wystawy sklepowe, po czym już na miejscu oświadczał swojej koleżance Magdalenie Staszewskiej: „Pani Madziu, upatrzyłem dla pani kreację”! Pan Au wkraczał wówczas w 80. rok życia. Najbliższe otoczenie o tym nie wiedziało, ale z życzeniami przyszedł starszy wiekiem pan Roman Ziółceki, wówczas kasjer Instytutu. Pofatygował się z parteru aż na nasze poddasze z gratulacjami, które sprawiły jubilatowi przykrość. Mówiono, że pan Au się obraził.

Pracowałam wówczas przy wspólnym biurku z Moniką Dziarnowską, która przyszła do Instytutu w 1959 r. Była to osoba niezwykle urody, delikatności i wrażliwości, nieufająca własnym możliwościom. Wykształcenie historyczne i znajomość języków obcych dawały jej możliwość awansu na redaktora, nie przyjęła jednak takiej propozycji. Dużo później wspominała, że się mnie bała, co mnie wielce strapiło, bo wydawało mi się, iż nie było ku temu powodów ani charakterologicznych, ani zawodowych.

W 1960 r. Dział Wydawniczy przeniósł się do domków budniczych od strony ratusza. Zajęliśmy I piętro: dwa pokoje od południa wydawnictwo książek, dwa od północy „Przegląd Zachodni”, a obok niego w trzecim redaktor naczelny. Taki układ pozostał aż do następnej przeprowadzki Instytutu Zachodniego w 1998 r. na ul. Mostową 27. Zimą było tam wyjątkowo chłodno, kaloryfery zawsze ledwo letnie. Tłumaczono, że u nas kończą się rury centralnego ogrzewania i nie można podwyższyć temperatury. Zastrzeżono też surowo, aby nie zmieniać wewnątrz pokoi i korytarza, nie wbijać żadnych gwoździ, bo naruszymy zabytkowe mury. Gdy po 20 latach znalazłam się ponownie w tych samych pomieszczeniach, zdumienie graniczyło z szokiem – stanęłam w dużej, nowoczesnej restauracji i tylko powtarzałam głośno: a nam nie wolno było wbić nawet jednego gwoździa...

Dział Wydawniczy zajmujący się wydawnictwami zwartymi dzierżyła silną ręką jako zastępca redaktora naczelnego Maria Morkowska zwana Myszką lub zdrobniale Myszeńką, ale nie przez nas podwładnych. Od koleżeństwa z „Przeglądu Zachodniego” przeciekło określenie „krwawa Mary” i to bardziej pasowało do niektórych sytuacji. Poprawiony przez nas tekst wędrował na biurko Myszki do sąsiedniego pokoju. Gdy słyszałyśmy przez otwarte drzwi brzęczenie bransoletek na jej ręku, stwierdzałyśmy: „Oho, wymazuje nasze poprawki”! Tak, drzwi musiały być zawsze otwarte, z wyjątkiem przyjmowania gości-interesantów. A Myszka paliła papierosy, których dym rozchodził się także po naszym pokoju. Próbowaliśmy raz dyskretnie przymknąć drzwi „palarni” – niestety, skończyło się reprimendą.

Piszę w rodzaju żeńskim, bo przez lata zespół był wyłącznie damski. Panów nie satysfakcjonowała żmudna praca redakcyjna, a jeśli się zjawiali, to na krótko. Sympatyczny pan Krzysztof nie ukrywał wręcz swoich planów, chciał zostać redaktorem sportowym, i to mu się udało.

Po odejściu Myszkii na emeryturę dostałyśmy się pod skrzydła redaktora naczelnego Działu Wydawniczego Władysława Tomaszewskiego. Władek (lub Władeczek) był niezapomnianym szefem. Nie przypominam sobie, by na kogoś podnosił głos lub okazał zdenerwowanie, gdy miał zwrócić uwagę, to – jak sam mówił – był chory. Łagodził spory i zadrażnienia, wnosił w otoczenie spokój. Do późna w nocy w domu poprawiał i przerabiał artykuły do „Przeglądu Zachodniego”. Niedośpany, niskociśnieniowiec, rano długo dochodził do siebie, dlatego prosił – nie przychodźcie do mnie przed dziesiątą. Dla całego działu był tarczą ochronną przed „zagroženiami” płynącymi z Pałacu Działyńskich, gdzie urzędowała dyrekcja. Nie chwalił się przed czym nas obronił i ile zniósł „ciosów”; czasem coś się przedostało od najbliższych sąsiadów z redakcji „Przeglądu Zachodniego”. Kiedyś powiedział: „Dziewczyny (tak się do nas zwracał), jak musicie wychodzić do miasta w swoich sprawach, róbcie to pojedynczo”.

Nasz szef określał Wydawnictwo Instytutu Zachodniego manufakturą. Wszystko wykonywaliśmy sami – od opracowania maszynopisu po gotową książkę. Do zakresu czynności należało:

1. opracowanie redakcyjne i techniczne maszynopisu autorskiego,
2. wykonanie korekt – pierwszej, drugiej oraz rewizji (trzeba było tak czytać, aby w złożonym tekście nie pozostawić literówek lub innych „chochlików” drukarskich),
3. obliczanie objętości książki i honorariów autorskich,
4. sporządzanie umów autorskich oraz umów-zleceń dla recenzenta, grafika, tłumacza (streszczenia obcojęzyczne),
5. prowadzenie kartoteki materiałowej: zamówienia papieru w fabrykach, sprawozdania z jego zużycia,
6. kontakty z autorami i drukarniami (Drukarnia Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka),
7. w razie potrzeby sporządzenie indeksu osób do książki.

Dobre opracowanie maszynopisu wymagało czujności według zasady: nie wierzyć autorowi, wszystko sprawdzać, ale po uzgodnieniu istotnych poprawek, w sprawach merytorycznych ma on zawsze ostatnie słowo. Benedyktyńska praca zaczynała się od ujednolicania skrótów, nazw pisanych dużymi literami, sprawdzania poprawności cytowanych przypisów i ich zgodności z podaną bibliografią. Wobec ówczesnie ograniczonych możliwości technicznych wymagało to szperania w katalogach bibliotecznych i encyklopediach, gdyż na PRL-owskich nie można było polegać. Nie wszystko udawało się „wyłapać”. W 1981 r. wydaliśmy książkę *Polacy w historii i kulturze krajów Europy Zachodniej. Słownik biograficzny*. Autor hasła o gen. Stanisławie Maczku podał daty biograficzne 1892-1975. Niedługo po ukazaniu się tej pozycji ktoś z naszych znajomych usłyszał gen. Maczka przemawiającego w radio *BBC* i przyszedł z tą wiadomością do redakcji. Generał został odesłany do wieczności o 19 lat za wcześniej.

Najlepszym kandydatem na redaktora był polonista, germanista, historyk – tacy na ogół najlepiej się adaptowali. Do pracy wydawniczej wdrażany był przez kogoś z działu z kilkuletnim doświadczeniem. W 1971 r. zostałam wysłana na kurs edytorski do Warszawy,

organizowany przez Biuro Wydawnictw i Bibliotek Polskiej Akademii Nauk. Taka okazja jednak już się nie powtórzyła.

Redaktor otrzymywał od szefa wydawnictwa maszynopis książki, która znajdowała się w planie wydawniczym – nie było przebiegania w tematyce. Następnie praca przebiegała według wspomnianego zakresu czynności, a redaktor pilnował swojej książki we wszystkich stadiach powstawania. Jedyne korekta była szczytywana „innymi oczami”, potem polegał tylko na swoich, przecież to było „jego dziecko”, za które odpowiadał. Z jaką satysfakcją oglądał gotową książkę pachnącą drukiem: czy ładnie wypadła grafika, czy przypadkiem na stronach tytułowych nie ma literówek, czy zachowano kolejność arkuszy drukarskich. Takie były zawodowe emocje, jeśli pozytywne – oddychał z ulgą, jeśli negatywne – przeglądał ostatnie stadia pracy i biadolił, jak mógł taką rzecz przeoczyć! A mógł, bo praca przy książce uczy pokory, tak mówił kolega Marian Pachucki na pożegnaniu w Dziale Wydawniczym w 1959 r.

Instytut Zachodni od lat 60. zajmował Pałac Działyńskich i domki budnicze, odległe od siebie o kilkadziesiąt metrów. Łącznikiem i dobrym duchem Instytutu była pani Halina Całkowa towarzysząca jego narodzinom w 1944 r. pod Warszawą, najpierw przez męża Leona, którego Niemcy rozstrzelali na początku Powstania Warszawskiego, potem w 1945 r. zaangażowana przez prof. Zygmunta Wojciechowskiego do pracy w organizującej się w Poznaniu placówce. Mieszkała w domkach budniczych na II piętrze nad Działem Wydawniczym, na parterze znajdował się Dział Administracyjno-Gospodarczy, gdzie pracowali Henryk Małecki i Stanisław Roth. Kontynuowała w Instytucie atmosferę rodzinną, która wytworzyła się w pierwszych latach jego rozwoju na ul. Chełmońskiego. Pani Halina – tak wszyscy się zwracali i było wiadomo, że to pani Całkowa – długoletnia harcerka (w stopniu harcmistrza) patrzyła na ludzi bardzo życzliwie i serdecznie, aby w razie potrzeby spieszyć z pomocą. Cieszyła się zaufaniem ludzi. Ile to razy przychodzili jak do matki wyzalić się i poradzić znacznie młodsi koledzy: Władek Tomaszewski, Józio Muszyński, Zbyszek Mazur, Janusz Sobczak. Pracowała w Instytucie długo (1945-1992) na różnych stanowiskach, od sekretariatu, kasy, aż po archiwum, które porządkowała. Pełna inicjatywy, energiczna, znakomita organizatorka. Sława stołówki dla pracowników Instytutu, którą prowadziła jeszcze w Wadze Miejskiej, wyszła daleko poza Stary Rynek, a chętni znajomi ściągali z miasta.

Pasję harcerską najbardziej ujawniała w corocznych wycieczkach instytutowych po Polsce i nieco dalej: do NRD, Czechosłowacji i na Węgry. Przygotowywała je dużo wcześniej z dobranym sztabem: Władkiem Tomaszewskim, Benicjuszem Głębockim z Pracowni Geograficznej i innymi, aby uczestnicy byli informowani o walorach historycznych, geograficznych i turystycznych mijanych terenów. Takie wyjazdy integrowały ludzi, sprzyjały bliższemu poznaniu i zachęcały do następnej wyprawy – zawsze we wrześnie. Po powrocie do Poznania i niedługim odsapnięciu, pani Halina gromadziła mapy, informatory i wytyczała przyszłoroczną trasę. Wycieczki były ledwie jedną z wielu inicjatyw Pani Haliny realizowanych z wielkim zaangażowaniem. Trudno nie wspomnieć o gwiazdkach organizowanych dla wszystkich dzieci instytutowych i o obozie letnim w Czechosłowacji dla nieco starszych.

Była jeszcze jedna okazja do spotkań pracowników Instytutu Zachodniego – Dzień Kobiet, bardzo promowany w PRL-u. Początkowo panowie (nie wszyscy) indywidualnie

składali paniom życzenia, czasem poparte kwiatkiem, czasem częstując cukierkami. Wspólne obchodzenie Dnia Kobiet zainicjowała Wanda Pierzchlewicz z biblioteki, działająca w zarządzie naszego związku zawodowego ZNP (Związek Nauczycielstwa Polskiego). Odtąd spotykaliśmy się 8 marca na ciastkach i herbacie (kawa była trudna do zdobycia – bo wtedy „zdobywano” towary „rzucane” do sklepów). Pani Halina, też z zarządu związkowego, zaznaczała wchodzącym do sali 22 w Pałacu Działyńskich – jedno ciastko na jedną osobę! Finanse Instytutu nie były wtedy w nadmiarze, kiedyś zabrakło nawet na wypłaty pensji. Członkowie zarządu nie lada się głowili, aby wymyślić dla pań drobne prezenty – broszki, rajstopy. Do dzisiaj obdarowane pamiętają droższe nieco upominki, jak parasole – wszystkie jednakowe, w kolorowe kwiaty – czy fajansowe komplety śniadaniowe sprowadzone przez przewodniczącego związku pana Zbigniewa Kulaka z Chodzieskiej Fabryki Porcelany. Pani Pierzchlewicz – popularnie Dula – rozmiłowana w literaturze szukała w wierszach polskich poetów (zwłaszcza Gałczyńskiego) fragmentów pasujących do poszczególnej pani, wypisywała na ozdobnych bilecikach i wręczała z serdecznym, właściwym sobie uśmiechem.

Nakreśliłam powyżej obraz wspólnych spotkań w Instytucie Zachodnim, ale było ich znacznie więcej, np.: wieczorki taneczne, wyjazdy do teatru w Warszawie, grzybobranie.

Odchodziłam z Instytutu w 1992 r. z dużym żalem. Jak po stracie kogoś bliskiego, bo to był naprawdę mój drugi dom.

*TERESA OTTO*